Nr 5-6 MAJ-CZERWIEC 1947

DZIECI I WYCHOWAWCA

MIESIĘCZNIK

RAMOWE WYTYCZNE W SPRAWIE ORGANIZACJI WYCHOWANIA W DOMACH MŁODZIEŻY

Z dużej liczby sierot, jakie pozostawiła wojna, większość znalazła opiekę w rodzinach dalszych lub w zupełnie obcych rodzinach zastępczych — mniejszość znalazła się w domach dziecka. Jednak w rodzinach zastępczych ogromną większość stanowią młodsze dzieci. Stąd stosunkowo duża liczba młodzieży w domach dziecka, młodzieży kształcącej się w szkołach średnich lub w zawodzie.

Domy dziecka, które znajdują się w miastach, zatrzymują u siebie tych wychowanków powyżej lat 14, których skierować mogą na drogę właściwego kształcenia na swoim terenie — stąd domy te mogą obejmować wychowanków o dużej rozpiętości wieku 3—18 lat.

Duża jednak liczba młodzieży, bądź spośród wychowanków wiejskich lub małomiasteczkowych domów dziecka, bądź świeżo zgłoszonych do zakładów z rodzin znajduje miejsce w domach dla młodzieży w wieku 14—18 lat.

Domy te nazywane bywają „domami dziecka" ku niezadowoleniu wychowanków, między którymi nie ma ani jednego dziecka. Przyjmują więc nazwy burs lub internatów — niesłusznie jednak, ponieważ nazwa „internat" oznacza miejsce zbiorowego zamieszkania uczniów jednej szkoły, placówkę związaną organizacyjnie ze szkołą, placówkę przeznaczoną w zasadzie dla uczniów opłacających swój pobyt w internacie. „Bursy" oznaczają placówki przeznaczone również dla młodzieży z rodzin, opłacającej w nich swój pobyt. Zarówno internaty jak bursy czynne są w zasadzie w czasie roku szkolnego — wakacje letnie i zimowe wychowankowie tych placówek spędzają w swoich domach rodzinnych.

Inny charakter mają czynne cały rok domy młodzieży osieroconej, której pobyt opłacany jest z funduszów państwowych i społecznych; tak, jak to dzieje się w domach dziecka.

Domy te mogą być domami koedukacyjnymi, większość ich jednak zawsze zapewne będzie przeznaczona dla młodzieży jednej płci.

Wielkość domów młodzieży może być różna — najlepiej gdy liczba wychowanków zawiera się w granicach 50—70.

W domach młodzieży znajduje się młodzież kształcąca się w najróżniejszych kierunkach, zależnie od swoich uzdolnień i zamiłowań. Nie należy organizować domów młodzieży oddzielnie dla uczniów gimnazjum, oddzielnie dla terminatorów. Istniejące już — należy w miarę możności terenowych przeorganizować w kierunku rozszerzenia ich zakresu. W każdym domu młodzieży znajdować się winni w zasadzie zarówno uczniowie gimnazjum i liceum ogólnokształcącego, jak i szkół zawodowych gimnazjalnych, jak i uczniowie terminatorscy oraz uczniowie w szkołach zawodowych przyfabrycznych — pracujący i kształcący się w fabrykach.

Wspólne wychowanie młodzieży kształcącej się w różnych kierunkach i na różnych poziomach — jest pierwszą cechą domu młodzieży.

Łączy się z tym niezawodnie umiejętne kierowanie młodzieży do różnych typów szkół z uwzględnieniem możliwości każdego wychowanka.

Również nierozerwalnie złączony być musi ze wspólnym wychowaniem właściwy stosunek wychowawczy do różnych typów kształcenia, który by nie dopuścił do traktowania przez jedną grupę młodzieży drugiej jako „gorszej“, „niższej“.

Wyrobienie właściwego stosunku do pracy, niezależnie od jej treści, a zależnie od sposobu jej wykonania — powinno być jednym z celów wychowania domu młodzieży.

Następną cechą domu młodzieży będzie aktywność jej wychowanków, wyrażająca się w odpowiednim ich udziale w życiu domu. Wychowankowie domu młodzieży korzystać muszą z minimalnej liczby usług personelu — gros pracy zarówno gospodarczej jak administracyjnej i wychowawczej spoczywać musi na wychowankach. Dom młodzieży — to jej dom, to nie dom „dla młodzieży“. Za poziom życia tego domu odpowiedzialni muszą być zarówno wychowankowie jak kierownictwo.

Aktywność młodzieży, jej udział w pracach domu winny być ujęte w ramy samorządu.

Samorząd jest nieodzownym elementem organizacyjnym domu młodzieży.

Organizacja wychowania w domu młodzieży polegać winna przede wszystkim na zorganizowaniu samowychowania. Nie można poprzestać na „wychowywaniu“ młodzieży — trzeba ją skłonić i wdrożyć do samowychowania. Zadania wychowawcze nie mogą pozostawać zadaniami danymi do osiągnięcia personelowi wychowawczemu — muszą być zadaniami całego zespołu wychowanków.

Czwartą podstawową cechą domu młodzieży winien być jego kontakt ze środowiskiem. Dom młodzieży nie może stanowić odciętej od środowiska wyspy. Młodzież winna brać — dobrowolny — udział w organizacjach młodzieżowych poza zakładem, do swego domu winna móc zapraszać kolegów czy to w celu umożliwienia im odrabiania lekcyj w salach zakładowych, czy to celem niesienia pomocy w nauce, czy też dla brania udziału w organizowanych zajęciach świetlicowych, przedstawieniach itp.

Niemniej niezbędnym czynnikiem wychowania w domach młodzieży jest czytanie i wspólne omawianie dzienników i tygodników. Wychowankowie domów młodzieży muszą wejść w życie jako jednostki zorientowane we współczesnej rzeczywistości, gotowe do pracy nad odbudową ojczyzny.

Ostatnim wreszcie z podstawowych elementów w domach młodzieży będzie zorganizowanie pracy zarobkowej, pozwalającej na zaspokojenie drobnych potrzeb osobistych wychowanków. Za najsłuszniejszą uważa się formę spółdzielni pracy.

Wielkim zadaniem kierownictwa domu młodzieży będzie takie zorganizowanie życia zakładu, aby praca młodzieży dla domu, praca zarobkowa, życie kulturalne i towarzyskie — nie przeszkodziły nauce i nie kolidowały z wytycznymi higieny, żądającymi odpowiedniej ilości godzin snu, odpoczynku, pobytu na powietrzu.

O wartości domu młodzieży — jak o wartości domu dziecka — decyduje kierownik i personel wychowawczy, którzy ogólne ramy organizacyjne domu wypełnić muszą najbardziej wartościową treścią.

Dom młodzieży nie może strukturą swoją ani atmosferą przypominać domu rodzinnego w takim stopniu, jak to jest możliwe w wypadku domu dziecka.

Dom młodzieży stanowić winien dobrze zorganizowaną grupę wychowanków i pracowników, zgrany zespół, świadomy swoich zamierzeń, celów i dróg prowadzących do ich osiągnięcia.

WYTYCZNE W SPRAWIE KSZTAŁCENIA WYCHOWANKÓW DOMÓW DZIECKA i DOMÓW MŁODZIEŻY NA POZIOMIE ŚREDNIM

Kierowanie kształceniem wychowanków domów dziecka po szkole powszechnej winno odbywać się na podstawie dwu zasad:

1. jak największa przydatność społeczna przyszłych pracowników;
2. maksymalne zadowolenie osobiste przyszłych pracowników.

Obie te zasady w praktyce prowadzić winny do kierowania wychowanków domów dziecka na tę lub inną drogę dalszego kształcenia przede wszystkim ze względu na ich osobiste uzdolnienia i zamiłowania oraz stan zdrowia.

Właściwe skierowanie umożliwi i dobre samopoczucie wychowanka na przyszłość, i dobre spełnianie przez niego obowiązków.

Uzdolnienia te i zamiłowania winny być przedmiotem starannej obserwacji pracowników domu dziecka co najmniej na rok przed skierowaniem wychowanka do szkoły średniej lub nauki zawodu.

Ułatwi obserwację takie zorganizowanie życia domu, które dostarczy wychowankom wielu możliwości różnorodnej pracy, zajęć, zabaw i zaspokajania różnorodnych zainteresowań.

Poważna i odpowiedzialna współpraca wychowanków w pracach domu: administracyjnych, gospodarczych, ogrodniczych, hodowlanych, porządkowych, sanitarnych, higienicznych, wychowawczych i innych — pomaga zorientować się w możliwościach dzieci. Oczywiście — o ile jest należycie zorganizowana.

Wakacyjne praktyki w różnych zawodach zwłaszcza rzemieślniczych, rolniczych, opiekuńczych i innych — mogą być wielką pomocą w poznaniu przydatności zawodowej wychowanków.

Wycieczki do różnych warsztatów pracy, rozmowy o zawodach z ich przedstawicielami, pogadanki o zawodzie — pozwolą wychowankom zorientować się w swoich własnych zamierzeniach.

Uzdolnienia i zamiłowania w zakresie: literackim, muzycznym, scenicznym, rysunku, robót ręcznych itp. — powinny mieć możność wykazania się w życiu zakładu.

Dobrze zorganizowany dom dziecka pozwoli ujawnić się zainteresowaniom społecznym, uzdolnieniom organizacyjnym i innym.

Kierownik domu zdobywa dane o swoim wychowanku także z innych terenów jego działalności, a więc ze szkoły powszechnej i z organizacyj do jakich dziecko należy, ewentualnie także z domu rodzinnego dziecka.

Kierownik wziąć winien pod uwagę zdanie lekarza, który udzielić może wskazań lub przeciwwskazań do pewnych zawodów ze względu na ogólny stan zdrowia wychowanka, na jego siłę fizyczną, stan poszczególnych organów itp.

W wypadku, gdy wychowanek nie przejawia żadnych określonych zainteresowań i uzdolnień, kiedy o przyszłej jego drodze życia nie potrafi wypowiedzieć się ani on sam, ani kierownictwo domu dziecka, ani szkoła, ani organizacja, której wychowanek ewentualnie jest członkiem — należy w miarę możliwości kierować wychowanka na badanie do paradni psychotechnicznej bezpośrednio lub za pośrednictwem Kuratorium.

Przy kierowaniu do dalszego kształcenia unikać należy drogi najmniejszego oporu, jaką jest kierowanie całej młodzieży do jednej szkoły dlatego np., że jest to jedyna szkoła w danej miejscowości.

W takich wypadkach należy młodzież poumieszczać w innych domach lub w internatach, bezpośrednio lub za pośrednictwem Kuratorium.

Przy kierowaniu pamiętać należy o tym, że nie ma prac dobrych i złych, mogą być jedynie prace lepiej lub gorzej wykonane. Lepszy jest dobry szewc niż kiepski lekarz.

Zadaniem kierownictwa domu jest zapewnienie maksimum możliwości wykształcenia jego wychowanków na dobrych fachowców, co będzie możliwe przez skierowanie ich odpowiednio do ich możliwości.

O ile przed wojną wielkim błędem zakładów było kierowanie wychowanków do zawodów stojących nieraz znacznie poniżej ich możliwości — a więc dziewczęta przeważnie do służby domowej lub na krawcowe, a chłopców do najczęściej spotykanych rzemiosł lub na robotników rolnych — o tyle po wojnie, obok takich samych niewłaściwości spotykamy przeciwne, polegające na kierowaniu całej młodzieży do szkół ogólnokształcących.

Kierowanie do tych szkół młodzieży średnio lub słabo zdolnej i nie zdradzającej dużej ochoty do nauki — jest marnowa-

niem czasu i energii tej młodzieży, prowadzi do jej wykolejenia, jest także marnowaniem państwowych i społecznych pieniędzy.

Dziś nie ma w ustroju szkolnym „ślepych dróg". Toteż żadne skierowanie nie zamknie przed jednostką zdolną i chętną do nauki dróg do najwyższego szczebla wykształcenia.

Wykształcenie średnie zawodowe uzyskać można dwiema drogami: przez gimnazja zawodowe i przez naukę zawodu w warsztacie rzemieślniczym lub fabrycznym, połączone z nauką w średniej szkole zawodowej, dokształcającej (18 godz. tygodniowo).

Pierwsza z tych dróg przeznaczona jest raczej dla uczniów o większych zainteresowaniach teoretycznych, druga dla tych, których bardziej pociąga praca i szybkie zarobkowanie. W praktyce pierwsza droga łatwiej doprowadzi do liceum zawodowego.

Domy dziecka nie powinny unikać drogi kształcenia wychowanków poprzez praktykę w rzemiośle lub w fabryce. Przeciwnie, z dróg tych powinny korzystać, roztaczając jednocześnie troskliwą pieczę nad terminującymi wychowankami. W pierwszym rzędzie kierownictwo domu przypilnuje zawarcia umowy w sprawie nauki zawodu, zatwierdzonej przez Izbę Rzemieślniczą czy Przemysłowo-Handlową.

Młodzież powyżej lat 15, która nie ukończyła szkoły powszechnej, może być również skierowana do nauki rzemiosła w warsztacie rzemieślniczym lub w fabryce oraz — jednocześnie — do średniej szkoły zawodowej (dokształcającej) ew. do klasy wstępnej.

Rola kierownika domu dziecka, zarówno w wypadku, gdy uczeń pozostaje w domu, jak i wtedy, gdy przenosi się na mieszkanie do majstra — polega na dopilnowaniu zawarcia umowy z majstrem o pracę, zarejestrowanej w Izbie Rzemieślniczej. Umowa ta pozwoli uczniowi wyzwolić się na czeladnika w przepisanym czasie.

W wypadku trudności z oddaniem wychowanka na naukę— pomocy i rady udzieli kierownictwu domu wojewódzka Izba Rzemieślnicza lub Przemysłowo-Handlowa.

Jednostki mało zdolne i zdecydowanie niechętne do nauki szkolnej a dojrzałe życiowo — spośród tej młodzieży powyżej lat 15, która nie ukończyła szkoły powszechnej — kierowane być mogą na krótkie kursy zawodowe, dające w efekcie pracownika nie kwalifikowanego a przyuczonego do zawodu.

Często kursy takie prowadzone są w łączności z Izbą Rzemieślniczą.

Młodzież pracująca może pozostawać w domach dziecka czy domach młodzieży do czasu usamodzielnienia się albo do czasu uzyskania świadectwa czeladniczego lub innego odpowiadającego temu świadectwu. Młodzież która zarobkuje, winna opuścić zakład, skoro tylko będzie się mogła samodzielnie utrzymać. Kierownictwo domu dziecka obowiązane jest pomóc wychowankowi w zorganizowaniu samodzielnego życia — wychowanek nie może opuścić domu dziecka w nieznanym kierunku.

Wszyscy wychowankowie domów dziecka bezwzględnie muszą się uczyć. Młodzież znajdująca się w domu dziecka może przebywać w nim bądź w charakterze wychowanków, korzystających z nauki, bądź w charakterze płatnych pracowników. Korzystanie z bezpłatnej wielogodzinnej pracy młodzieży nie kształcącej się w żadnej szkole, a podawanej na liście wychowanków — jest niedopuszczalne.

...nie w tym jest wart człowiek, co przemyślał i przeżył, ale co zrobił dobrego na świecie.

Andrzej Małkowski

DROGI KSZTAŁCENIA ZAWODOWEGO

Zbliża się koniec roku szkolnego, a z nim chwila otrzymania świadectwa końcowego dla licznych zastępów młodzieży, która w tym roku szkolnym dochodzi do zakończenia pierwszego lub drugiego etapu swej drogi szkolnej. Jeden etap, przeznaczony dla ogółu młodzieży, to szkoła powszechna. Drugi, do którego wchodzi się na podstawie wyboru, to szkoła średnia. Zakończenie etapu, niezmiernie często utrudnione dla bardzo wielu dzieci, nad losem których zaciążyła wojna, wymaga głębszego zastanowienia i zdecydowania, co chciało by się dalej robić. Decyzja zależy od szeregu czynników, które trzeba mieć na uwadze. Przede wszystkim wymienić musimy wiek i podbudowę szkolną, którą zdołało się zdobyć. Zgodnie z ustawami i przepisami szkolnymi dziecko 14-letnie powinno kończyć 7-klasową szkołę powszechną, po czym podlega obowiązkowi szkolnemu do 18 roku życia. W miarę wprowadzania 8-klasowej szkoły podstawowej wiek ten będzie się podnosić do 15 lat. Absolwent szkoły powszechnej ma przed sobą trzy drogi: do gimnazjum ogólnokształcącego, do gimnazjum zawodowego lub bezpośrednio do pracy zawodowej.

Utarty pogląd, że do gimnazjum ogólnokształcącego powinna iść młodzież zdolna, do nauki zawodu zaś ta jej część, która gorzej radzi sobie z pracą umysłową, nie jest słuszny. Szkoła zawodowa daje bogate możliwości kształcenia się do najwyższych szczebli włącznie, a stawia swym uczniom duże wymagania, łącząc wykształcenie ogólne z zawodowym. Najistotniejszym momentem musi tu być stwierdzenie zdolności i upodobań młodzieży. Jeżeli zdolności umysłowe idą w parze z zamiłowaniem do „majsterkowania", do gospodarowania lub zmysłem „kalkulacyjnym" i organizacyjnym, to daje to rękojmię dobrego opanowania zawodu technika, rzemieślnika, pracownika handlowego, spółdzielczego lub gospodyni, oraz dojścia również poprzez szkołę zawodową do wyższych szczebli w obranym zawodzie. Szkolnictwo zawodowe jest przebogatą mozaiką możliwości kształcenia. Wśród dwudziestu paru typów szkół przemysłowych, handlowych, gospodarczych, rolniczych, każdy chłopiec i każda dziewczyna mogą znaleźć rodzaj pracy, który trafia w ich uzdolnienia i upodobania.

Wybierając drogę kształcenia zawodowego młodzież ma dwie drogi. Gimnazjum zawodowe daje wykształcenie ogólne i przygotowanie zawodowe, wymaga jednak sporych kosztów (w gospodarczych i rzemieślniczych na materiały do nauki zawodu) i wysiłku umysłowego. Dla młodzieży, która nie ma zdolności ani zamiłowania do pracy umysłowej, zwłaszcza jeśli pragnie szybciej usamodzielnić się życiowo, odpowiednią jest droga kształcenia zawodowego bezpośrednio w zakładach pracy. Jeśli uczeń idzie do zakładu rzemieślniczego, przepisy prawa przemysłowego wymagają zawarcia umowy o naukę i zarejestrowania jej w izbie rzemieślniczej (siedzibą izby rzemieślniczej jest miasto wojewódzkie). Młodociani uczniowie i pracownicy podlegają obowiązkowi dokształcania i mają prawo do zwolnienia z pracy na naukę, jeżeli uczęszczają do szkoły (w wymiarze 18 godzin tygodniowo). W rzemiośle świadectwo ukończenia szkoły dokształcającej jest podstawą dopuszczenia do egzaminu czeladniczego, który jest pierwszym szczeblem do samodzielnego uprawiania zawodu. Obecnie szkoły dokształcające noszą nazwę średnich szkół zawodowych i dają podstawę do dalszych stopni kształcenia zawodowego. Warto zwrócić uwagę na rozbudowaną sieć szkół przy większych zakładach przemysłowych, które dla uzupełniania kadr pracowniczych tworzą dla młodocianych tzw. szkoły przemysłowe, odpowiednik gimnazjów zawodowych. W szkołach tych chłopcy znajdują możność zarobkowania i dobre warunki kształcenia

zawodowego. Dla dzieci, pozostających na opiece społecznej jest to dobra forma zdobycia samodzielności życiowej po 3 latach nauki.

Omówiliśmy normalny tok nauki, warunki powojenne jednak wymagają rozwiązania wielu wypadków, które odbiegają od normalnego toku. Należy podnieść z całym naciskiem, że przepisy o organizacji pracy w szkolnictwie zawodowym, dążąc zasadniczo do podniesienia cenzusu, a więc i poziomu nauki, przewidują rozwiązanie trudności w wypadkach, które są pozostałością okresu wojennego. Do takich trudności należy sprawa umieszczenia w szkołach młodzieży zapóźnionej, która nie zdołała zdobyć świadectwa pełnej 7-klasowej szkoły powszechnej. Zasadniczo zarówno gimnazja zawodowe, jak i średnie szkoły zawodowe (dokształcające) przyjmują uczniów po ukończeniu 7 klas, jednakże prawie wszystkie mają klasy wstępne dla dopełnienia wiadomości, potrzebnych do przerobienia programu szkoły zawodowej. Nadto dla młodzieży starszej, zwłaszcza na terenach, które ucierpiały wskutek działań wojennych, mogą być tworzone specjalne ciągi skrócone, aby umożliwić jej wejście do pracy zawodowej po trzech latach nauki. Program dla szkół dokształcających tzw. ogólnozawodowych, które gromadzą uczniów z różnych zawodów, opracowano w dwóch wariantach: dla młodzieży, która ukończyła przynajmniej 6 klas szkoły powszechnej, oraz dla tych, którzy mają mniej niż 6 klas.

W okresie przejściowym istnieje jeszcze jeden rodzaj szkół, bardzo odpowiedni dla młodzieży starszej, która jest na granicy obowiązku szkolnego. Są to mianowicie roczne szkoły przysposobienia zawodowego — gospodarczego, handlowego, krawiecko-bieliźniarskiego.

Wreszcie bogata sieć kursów, prowadzonych przez różne resorty i organizacje gospodarcze, dostarcza możliwości zdobycia przygotowania zawodowego i zdobycia samodzielnej egzystencji, gdy na wszystkich polach pracy brak ludzi, mających fachowe przygotowanie. Niemniej różnorodne drogi otwierają się przed młodzieżą, która kończy gimnazja ogólnokształcące. Ponad dwadzieścia rodzajów liceów zawodowych kształci na stopniu wyższym do pracy zawodowej. Również i tutaj młodzież starsza (od 17 lat), która nie zdołała zdobyć pełnego świadectwa gimnazjalnego, ma możność uzupełnienia swych wiadomości w klasie wstępnej. Młodzież starsza, mając maturę gimnazjalną, ma swobodny dostęp do wszelkich kursów za-

wodowych, gdy droga 3-letniego kształcenia ze względów życiowych może okazać się zbyt długa.

Na drodze do wyboru drogi zawodowej kształcenia stoi utarty również pogląd, mający zresztą swoje uzasadnienie w dawnej praktyce, iż tylko szkoła ogólnokształcąca otwierała wszystkie drogi do wyższych uczelni. Współczesna reforma szkolna odznacza się dążeniem do osiągnięcia otwartego systemu kształcenia. Na podbudowie szkoły podstawowej opierać się będą licea zawodowe i ogólnokształcące, których ukończenie daje prawo wstępu do szkół wyższych. Młodzież, która zdobyła naukę zawodu bezpośrednio w zakładach pracy i ukończyła średnią szkołę zawodową (dokształcającą), będzie mogła kształcić się dalej w specjalnych liceach 1 lub 2-letnich, gdzie dopełni brakujące wiadomości, o ile zapragnie przejść do szkół wyższych. Należy mieć również na uwadze, iż utrwala się system kształcenia dorosłych w specjalnych liceach zawodowych, gdzie pracownik, którego rozbudzone zainteresowania zaprowadzą na drogę dalszej nauki, znajdzie odpowiednie dla siebie warunki kształcenia.

Jadwiga Bartosik

Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy, ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi . . .

Adam Mickiewicz

OBRAZKI Z PORADNI ZAWODOWEJ PRZY MIEJSKIEJ PRACOWNI PSYCHOLOGICZNEJ W ŁODZI

Poradnictwo zawodowe dąży do poznania człowieka dla właściwego zużytkowania jego zdolności i zamiłowań ułatwiających podniesienie wartości jego pracy, a tym samym przyczynienia się do podniesienia ogólnego dobrobytu. W każdym człowieku należy ujawnić jego skłonności i zamiłowania, aby zapewnić mu atmosferę radości i zadowolenia przy spełnianiu pracy. Zaznacza się wyraźnie podwójna rola poradnictwa zawodowego: troska o ogół i o jednostkę, wnikanie w człowieka z myślą o społeczeństwie, a zarazem troska o podniesienie wydajności przemysłu i rzemiosła — przez zachęcanie do nauki i studiów w odpowiednich szkołach lub w warsztatach w zależności od wykazanych zdolności i przydatności psychiczno - fizycznych i zamiłowań.

Pragnę przedstawić kilka wypadków, w których porada udzielona w pracowni umożliwiła właściwe skierowanie młodzieży.

Obrazek pierwszy. Badaliśmy grupę młodzieży, która zdawała wstępny egzamin do gimnazjum typu matematyczno-przyrodniczego.

W badaniach psychotechnicznych wybitnie wyróżniał się chłopiec S. i otrzymał od nas ocenę: bardzo uzdolniony. Został przyjęty do szkoły. Ponieważ zawsze kontrolowaliśmy postępy szkolne badanej przez nas młodzieży, po sześciu miesiącach w okresie pierwszych otrzymywanych cenzur zwróciliśmy się do wychowawcy z prośbą o opinię. Okazało się, że S. miał stopnie niedostateczne. Wezwaliśmy chłopca do poradni, celem ustalenia przyczyn jego niepowodzeń w szkole. Okazało się, że chłopca nuży matematyka. Zdawało mu się, że w gimnazjum matematyczno-przyrodniczym uczyć się będzie rolnictwa i stąd wynika jego zniechęcenie i rozczarowanie. Wyjaśniliśmy chłopcu różnice typów gimnazjalnych i zaproponowaliśmy przeniesienie do gimnazjum rolniczego, tak bardzo odpowiadającego kierunkowi jego zamiłowań. Chłopiec po wakacjach pojechał do wskazanej szkoły. I znów po sześciu miesiącach zażądaliśmy informacji. Ocena szkolna brzmiała następująco: „Wybitny — dawno tak zdolnego ucznia nie mieliśmy, podnosi poziom klasy". Chłopiec ukończył szkołę, przeżył wojnę i zajmuje wysokie i odpowiedzialne stanowisko w rządzie.

Obrazek drugi. Kazio przybiegł do poradni bardzo wzburzony i zdenerwowany: „Niech mi pani pomoże, ojciec chce koniecznie, abym został rzeźnikiem, a ja nienawidzę zabijania zwierząt i krajania mięsa, chcę się uczyć w szkole handlowej, chcę zostać buchalterem".

Badania psychotechniczne wykazały inteligencję dobrą i wyraźne zdolności handlowe.

Wezwaliśmy ojca. Przyszedł zagniewany, że zabieramy mu czas, „bo on ma sklep rzeźniczy dobrze prosperujący, syna swego jedynaka musi skierować do zawodu rzeźniczego, aby po nim objął warsztat pracy. Kazio musi więc zostać rzeźnikiem. Zresztą chłopak jest krnąbrny, nieposłuszny, wciąż z domu ucieka — w terminie poczuje silną rękę i pewno wtedy ustatkuje się".

W dłuższej rozmowie podsunęliśmy myśl, że w sklepie na pewno jest potrzebny kasjer i buchalter. Chłopiec ma w tym kierunku zdolności i zamiłowanie, więc gdyby ojciec zgodził

się chociaż na jeden rok skierować Kazia do gimnazjum handlowego, to na pewno wyrośnie z niego dobry, inteligentny pracownik i będzie razem z ojcem w sklepie owocnie pracować.

Wreszcie ojciec zdecydował się na jeden rok próbny. Kazio wstąpił do gimnazjum handlowego. Po siedmiu miesiącach zjawia się ojciec i mówi: „Pani miała rację, Kazio bardzo się zmienił, siedzi w domu i uczy się pilnie, jest wesół, zadowolony i nawet często zachodzi do sklepu i pomaga przy kasie — będę miał z niego dobrego pomocnika".

Obrazek trzeci. Z domu wychowawczego przysłano nam do zbadania 14-letnią Zosię. Dziewczynka dobrze uczyła się w szkole powszechnej. Fizycznie jest bardzo drobna, wygląda na 10-letnie dziecko.

Badania psychotechniczne i wywiad z Zosią wykazały inteligencję dobrą, duże uzdolnienia krawieckie i wielkie zamiłowanie do tego zawodu. Zosia była osóbką zdecydowaną i tylko w tym kierunku chciała pracować. Ze względu na fizyczny wygląd Zosi zasięgnęliśmy rady lekarza. Stan zdrowia okazał się dobry. Lekarz orzekł, że dziewczynka może pracować w obranym zawodzie.

Do gimnazjum krawieckiego Zosia zdała bardzo dobrze, ale na posiedzeniu rady pedagogicznej wyłoniła się kwestia, że Zosia jest za mała, że trudno jej będzie szyć na maszynie, bo ledwie dosięga nogami jej pedałów. Przedstawiliśmy radzie pedagogicznej orzeczenie lekarskie i wyniki naszych badań. Uzyskaliśmy zgodę na próbne przyjęcie Zosi do gimnazjum krawieckiego. Po dwóch latach wyniki pracy były nadzwyczajne. Zosia z całym zapałem pracowała, była prymuską, wnosiła do pracy dużo własnej inicjatywy. W tym czasie szkoła na wystawę prac szkolnych młodzieży zorganizowanej w Paryżu przesłała roboty swoich wychowanek. Wszystkie modele i roboty Zosi zostały odznaczone.

Maria Więckowska

Dzieci! Dumne miejcie zamiary, górne miejcie marzenia i dążcie do sławy.

Janusz Korczak

(Sława)

SYSTEM BONOWY

Z książki pracy wychowawczej domu, prowadzonej przez zespół wychowawczyń.

Rok 1939. Warszawa po oblężeniu. Nieustabilizowana, nowa rzeczywistość klęski. W ogólnym chaosie, pierwsze prymitywne próby organizowania opieki społecznej.

Przy ul. Piusa powstaje pod znakiem PCK „Zakład reedukacyjny dla dzieci ofiar wojny".

40 dzieci i młodzieży w wieku lat 6—17. Chłopcy i dziewczęta z różnych środowisk z wyraźną przewagą najciężej upośledzonych społecznie grup proletariatu wielkiego miasta.

Część dzieci ma za sobą przeszłość złodziejską lub żebraczą, dwie dziewczynki (14—15 lat) zaczynały zarabiać prostytucją.

Wszystkie są „ofiarami wojny" — sieroty, kaleki, dzieci po przebytym szoku nerwowym, mające za sobą parę tygodni samotnej „walki o byt" wszelkimi sposobami.

*

Zarówno przeszłość dzieci, jak i ciężkie warunki materialne, w których pracuje zakład wysuwają na plan pierwszy zagadnienia materialne. Co dostaniemy jeść? Jakie dadzą ubranie? Jak zdobyć jak najwięcej dla siebie?

Zakład jest odwiedzany przez przedstawicieli PCK, delegacje zagraniczne i współczujących życzliwych. Dzieci w lot chwytają wynikające stąd możliwości. Świadomie dyskontują okazywane im współczucie, przyjmują obłudną postawę „wdzięcznych za pomoc ofiar" — demonstrują sprytnie swoje kalectwo — wszystko dla uzyskania doraźnych korzyści materialnych. Zabiegom tym towarzyszy rosnąca pogarda dla ofiarodawców, którzy „dają się naciągać", nieufność i gorycz całkowitej utraty właściwej dziecku choć nieuświadomionej — wiary w życie i własne możliwości.

Kluczem do rozwiązania niesłychanie trudnego zadania wychowawczego stał się dla nas „system bonowy".

*

Któregoś dnia w wieczornej gawędzie, zżywającej się gromady, dzieci opowiadały swoje przeżycia wojenne. Jeden ze starszych chłopców, były goniec marynarki, z uznaniem wspominał sposób, jakim jego kapitan opanował dezorganizującą się załogę statku: ze szczupłego zapasu — racje żywnościowe otrzymywali jedynie marynarze wykazujący się bonem wykonanej pracy dziennej.

Ogólne uznanie, z jakim spotkało się wśród dzieci to opowiadanie stało się punktem wyjścia systemu wychowawczego.

Podstawą jego dla nas było przeświadczenie, że „reedukacja" może się odbyć jedynie przez podjęcie przez nasze dzieci pewnych obowiązków, których wypełnianie przywróci im wiarę we własne siły i poczucie własnej godności.

Wspólnie więc z dziećmi omówiony został zakres ich codziennych obowiązków. Polegały one na wykonaniu powierzonego przydziału pracy i przestrzeganiu ustalonych „praw domu". Prawa te obejmowały zarówno „regulamin zakładu", jak i podstawowe zasady „współżycia w gromadzie". Za każdy „pełny" dzień otrzymywało dziecko „bon pracy" (kartonik oznaczony czerwonym krzyżem).

„Bon" przedstawiał wartość dziennego utrzymania. Otrzymywane w tygodniowych „wypłatach" bony, wpłacał następnie wychowanek 1 dnia każdego miesiąca kierownictwu zakładu. Wysokość wpłaty równała się ilości powszednich dni w miesiącu.

*

Wprowadzenie systemu dało nam nieosiągalny dotychczas efekt aktywnego, dobrowolnego udziału dzieci w życiu domu.

System stał się ośrodkiem krystalizacyjnym wszelkich poczynań wychowawczych. Ustalono na wniosek dzieci, że ten, czyje długi przekroczą wysokość dwumiesięcznej wpłaty, musi opuścić zakład. („Nie można ciągle tylko z cudzej pracy korzystać a samemu nic nie robić").

Codzienne omawianie wyników dnia w grupach wychowawczych, uroczysty moment wpłaty miesięcznej, przy którym miałyśmy możność okazać nasz szacunek dzieciom zamykającym miesiąc „bez długu", możliwość wreszcie zdobywania przez dzieci niezbędnego wyposażenia odzieżowego w drodze „nadwyżek bonowych" za dni świąteczne i dobrowolnie podejmowane prace dodatkowe, wprowadzenie honorowego tytułu „pomocnika" — zmieniły zasadniczo postawę grupy. Dzieci zainteresowane celowym wysiłkiem prowadzącym do konkretnych, uchwytnych rezultatów, poczuły się dobrze w domu, odzyskały jakby dzieciństwo i młodość.

Wtedy rozpoczął się drugi okres pracy wychowawczej: z małych „kapitalistów" często sprytnie zabiegających o zysk własny, trzeba było wychować uspołecznionych członków wspólnoty domowej.

Obok systemu bonowego narasta w tym okresie bogate życie zwartej już gromady. Pobudzany przez nas powoli dochodzi do głosu właściwy młodzieży idealizm.

„Bon“ nabiera znaczenia przede wszystkim jako symbol osiągnieć. Sumą zdobytych „zarobków“ mierzą dzieci swoją wartość jako pracowników.

Ponad interesy jednostki wyrasta powoli honor grupy wychowawczej.

„System bonowy“ przyjęty w specjalnych warunkach przestaje być na tym etapie rozwoju grupy podstawowym narzędziem. Utrzymuje się obok innych środków wychowawczych już tylko jako miły dzieciom tradycyjny zwyczaj domu.

Trudno w ramach krótkiego artykułu zamknąć cały bogaty obraz ewolucji, jaką przeszła gromada dziecięca, a wraz z nią zespół dla niej dobranych „chwytów“ wychowawczych.

Ocenę atmosfery i rezultatów ułatwić mogą poniższe wyjątki z książki pracy wychowawczej zakładu i gazetki ściennej wydawanej przez zespół wychowawczyń. Piszą wychowawczynie.

I. Gazetka domu z I okresu wychowawczego po wprowadzeniu systemu

GŁOS SPOD LASU Nr 3

Proszę siostry*), ile ja dostanę?... Proszę siostry, zmywałam, jak Wieś był na opatrunku, ile dostanę?...

Proszę siostry, za tę łódkę to chyba cały bon...

Ciągle ktoś liczy, upomina się, ocenia. Cieszy nas ten zapał do zarabiania, wasza chęć honorowego zamknięcia miesiąca, pozbycia się długów.

Gorzej jeżeli ktoś chciwie gromadzi zarobki „najpierw na spodnie, potem na scyzoryk, wędkę, piłkę i tak dalej“.

Mówię „gorzej“, bo wtedy myślicie tylko o tym, wydzieracie sobie prace dodatkowe i prawujecie się o każde ¼ bona.

A za żadne skarby nikt nie zrobi nic „za darmo“, nic poza tym, co jego. Pomóc koledze w wolnej chwili z ochoty, z uprzej-

---

*) Termin „siostra“ używany w naszym zakładzie związany był z Czerwonym Krzyżem, pod którego auspicjami prowadzony był zakład. Zespół wychowawczy stanowiły instruktorki pracujące „w ramach konspiracyjnego Pogotowia Harcerek“.

mości — to nic u nas. Zrobić piękną łódź i ofiarować prezent dla domu czy przedszkola „za darmo“ — nie potraficie.

A teraz powiem, co byłoby, gdyby wszyscy u nas tak myśleli. Mamy was tu żywić, żebyście nie byli głodni, ale nikt nie „dopłaca“ pani kierowniczce za czas na obmyślenie, żeby to, co jecie, było smaczne. Po co się trudzić za darmo? Kto nam „zapłaci“ za czas stracony na urządzenie gry polowej? Ile bonów dostanę za gazetkę?

Pomyślcie, jak smutno i nudno byłoby, jak źle, gdyby każdy robił wszystko tylko za coś...

II. Gazetka domu — koniec II okresu po 7-miesięcznej pracy

GŁOS SPOD LASU Nr 28

„Ostatnia gazetka“

To jest ostatnia gazetka. Pożegnalna! Pożegnamy „Zielony dom“, las i rzekę. Prędko to przeszło! Czas szybko mijał. Dobrze nam tu było. Wiem, że długo i serdecznie wspominać będziemy ten czas. I gry, i kąpiel, i grzybobranie, i zebrania pomocników... Bo „pomocnikami“ zostaniecie. Może nie będziemy już was oceniać, może nie będziemy razem, ale myślę, że pomocnikami zostaniecie. Jak to? A no tak: pomocnik to ten, co porządnie spełnia swój obowiązek, przydział. To ten, co nie skrzywdzi i nie da skrzywdzić słabszego. Pomocnik odważnie przyznaje się, kiedy coś zbroi, jest dobrym towarzyszem w gromadzie.

Chyba tak to było? Prawda? I to chyba się nie zmieni. Jest przysłowie: „Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem się zejdzie“. A cóż dopiero, kiedy tego chce. No więc przyjadę kiedy do jakiegoś domu PCK. Patrzę: Hela. Urosła, inaczej wygląda z długimi włosami, ale Hela. Pytam sióstr: „Tak, dzielna, opiekuje się gromadką, pracuje dobrze“. I już wiem, została pomocnikiem.

Idę do jakiegoś gimnazjum: Ryś! Uczy się, pracuje uczciwie, dobry kolega. Znów wiem — pomocnik! A Zdzicha spotkam w jakiejś pracowni, gdzie mi swoje „dzieła“ pokaże, a Romana może w jakimś warsztacie kiedyś. Popatrzę w oczy. No, jak tam? I jeżeli mi tak, jak teraz często, odpowiedzą śmiało: „Dobrze, proszę siostry“ — będę wiedzieć: to pomocnicy. I dlatego nie żegnamy się z wami.

O czym pamięta pomocnik

Otocz opieką słabszego...
Równy z równym...
Nie śmiej się z innych, bo nie jesteś mniej śmieszny niż oni...
Sądź siebie tak, jak sądzisz innych...
Nie tylko to, co zrobiłeś, jest ważne, ale także dlaczegoś to zrobił, jakim prawom byłeś posłuszny...

(Wnioski z zebrań pomocników).

III. Z ankiety ogłoszonej przed zamknięciem zakładu, opublikowanej w gazetce pożegnalnej

CO BYŁO DOBREGO

(głosy pomocników)

„Polówki" (zdobywanie fortu)
„Zielony Dzień"
Wycieczki
Wolne popołudnia (grzyby!)
Wizyta w Dzieciakowie
Przedstawienie
Prowadzenie dnia
Przydziały. Nauka
Wspólna praca
„że nie odliczono zaginionych bonów".

(głosy sióstr)

Niektóre **zebrania pomocników**
Sąd nad Jankiem i Stefą
Marysia, Zdzich i Wojtek na Polówce
Odrabianie lekcji
Jak pomocnicy słuchali „Tajemnicy Zielonego domu"
Uczciwość Jureczka R. w przyznawaniu się do błędów
Pilność Wandy
To, że możemy „grać w otwarte karty"
Praca Romka, Wandy, Marysi Sal, Mundka (Bucze)
To, że Wojtek się surowo ocenia
Wszystko, co podali pomocnicy i b. dużo rzeczy, które się zapomniało...

CO BYŁO ZŁEGO

(głosy pomocników)

Długa cisza i że nie wolno czytać książek
że zjedzono w kuchni i nikt się nie przyznał (i bony zginęły i haczyk)
że nie wolno skarcić siłą
że nie wolno zawsze grać w noże
że posądzono niewinnie
ostatnie obliczenie gromadek i bonów

(głosy sióstr)

że nie dotrzymałyśmy obietnicy z koncertem...
że nie wszystkim u nas było jednakowo dobrze...

Wiktoria Dewitz

PIOSENKA O PRACY

W rozgwarze miasta,
na polach wsi,
w krąg, jak szeroka ziemia,
w trudzie wyrasta
z nocy i dni
żniwo radosnych przemian.
Zwycięstwo idzie w ślad
roboczej szarej armii.
My zdobywamy świat,
by szczęściem go nakarmić.
Gdzie człowiek cierpi,
gdzie spływa pot —
sił nam nie wolno tracić.
Niech dzwonią sierpy,
niech bije młot
na chwałę bratniej pracy,
Zwycięstwo idzie w ślad
roboczej, szarej armii.
My zdobywamy świat,
by szczęściem go nakarmić.

Nienawiść zginie,
ustanie głód,
w proch padnie wojen sława,
lecz nie przeminie
miłości trud —
najświętsza ludzka sprawa.
Zwycięstwo idzie w ślad
roboczej, szarej armii.
My zdobywamy świat,
by szczęściem go nakarmić.

Edward Szymański

WYCHOWANIE CZYNNEJ POSTAWY W STOSUNKU DO PRACY

Czy dzieci zakładowe musi cechować brak inicjatywy, bierność, niechęć do wysiłku, niszczycielski stosunek do własności wspólnej, poczucie krzywdy i przekonanie, że im się wszystko „należy" od zakładu i społeczeństwa?

Czy wyżej wymienione cechy tak częste wśród wychowanków domów dziecięcych i burs są nieodłączne od wychowania zbiorowego? Czy też można ich uniknąć i jak?

Każdy z wychowawców stawia sobie niejednokrotnie powyższe pytania i z goryczą zastanawia się, dlaczego jego intensywna i wyczerpująca praca daje stosunkowo tak nikłe wyniki?

Wychowankowie zakładów wychowaczych często nawet umieją dobrze wykonywać różne prace, ale cechuje ich brak inicjatywy i chęci do pracy. Są to na ogół bierni wykonawcy „roboty".

— A przecież kto jak kto, ale właśnie oni powinni być wyjątkowo aktywni i przedsiębiorczy, gdyż będą musieli absolutnie wszystko sami sobie w życiu zdobywać. A w dodatku ich start życiowy jest znacznie trudniejszy. W rodzinie gdy chłopiec dorasta i kończy szkołę, to cały legion ciotek, kuzynów i krewnych zostaje puszczony w ruch celem znalezienia dobrej posady. Jeżeli z jakichkolwiek przyczyn młodzieniec traci tę posadę, to starania zostają wznowione, aby zapobiec niepowodzeniu. A tymczasem wychowanek zakładu idzie w życie sam, zupełnie sam i nikt mu nie dopomoże w zdobywaniu sobie stanowiska, uznania i środków materialnych, mieszkania oraz wszystkich sprzętów.

Wychowanek zakładu musi nie tylko umieć wykonywać różne prace (sprzątać, gotować, szyć, heblować, piłować i rachować), ale musi przede wszystkim „chcieć“ pracować, musi mieć inicjatywę, umieć sobie pracę zorganizować i rozłożyć, musi pracę kochać i wyżywać się w niej. Bez spełnienia powyższych warunków nie ma dobrego pracownika. A jeżeli wychowanek nasz nie będzie dobrym pracownikiem, to nie zdobędzie samodzielności, nie zabezpieczy sobie środków utrzymania i — prędzej, czy później — będzie znów kandydatem na podopiecznego.

Tymczasem, powiedzmy szczerze, wychowanie zbiorowe nie sprzyja z wielu względów rozwijaniu się mocnych charakterów. Wychowawcy nie lubią wyróżniających się indywidualności wśród wychowanków, gdyż nastręcza to zazwyczaj sporo kłopotów i dodatkowych trudności.

„Wzorowi“ wychowankowie, to zwykle spokojni, potulni, karni chłopcy, nie objawiający pragnienia przygód, ani ciekawości świata. I cały tryb życia w domu dziecięcym nastawiamy na to urabianie bierności charakteru.

Dzwonek: — wstawanie, mycie, słanie łóżek, sprzątanie. Nie warto się śpieszyć — czasu jest 45 minut. Jeżeli się wcześniej skończy, to nie można polecieć na podwórze, lub powtórzyć lekcje („teraz nie pora na to...“), tylko trzeba będzie pomóc jakiemuś malcowi, albo dadzą dodatkową robotę. Od godz. 15—18 odrabianie lekcyj. Bez względu na to ile się ma zadanych lekcyj, jakiego wysiłku one wymagają — trzeba swoje „odsiedzieć“. Albo też, kto wcześniej skończy swoje zadania, pójdzie pomagać obierać kartofle lub łatać bieliznę. I pocóż wobec tego się śpieszyć. Nie warto. Uczą się więc nasi wychowankowie pracować powoli, rozwlekle. Ta powolność, ta bierność, to robienie „na dzwonek“, a nie dlatego, że widzą, iż jest robota, którą trzeba wykonać, staje się nałogiem, charakterystyczną cechą naszych wychowanków. Nie umieją gospodarować swym czasem.

Intensywność pracy jest najczęściej wynikiem pragnienia uzyskania pewnych korzyści, np.: zaoszczędzenia czasu, pozbycia się niemiłego zajęcia, lepszego zarobku. Pobudki te nie działają na wychowanków domów dziecięcych. Czas nie ma żadnej wartości, bo i tak nie można nim dysponować według swego uznania i jest odmierzany dzwonkami i rozkładem dnia.

Skończenie pracy nie jest równoznaczne z uzyskaniem czasu wolnego — zostaje wyznaczone nowe zajęcie. A czy praca będzie wykonana lepiej czy gorzej, czy zaoszczędzi się

dzięki temu pieniędzy, czy też zmarnuje — tego wychowanek bezpośrednio nie odczuje, wartość pieniędzy jest dlań abstrakcją: nigdy ich nie ma, nie zarabia, nie wydaje.

Zrobiłyśmy kiedyś w jednym domu dziecięcym pewien eksperyment: — mianowicie nie było godzin wyznaczonych w ciągu dnia na odrabianie lekcyj, sprzątanie, wykonywanie dyżurów. Dzwonki były tylko na ranne wstawanie, gimnastykę i modlitwę, na posiłki, na ciszę nocną. Obowiązywała bezwzględna punktualność. Rano wolno było wstać wcześniej pod warunkiem przestrzegania ciszy i nie budzenia nikogo. Można było wstać po cichutku i ubrać się, a potem pójść do uczelni, aby powtórzyć lekcje, albo do ogrodu, nad rzekę, do lasu na grzyby. Każdy miał wyznaczony i określony ściśle dyżur: sprzątanie, rąbanie drzewa, wyreperowanie w ciągu tygodnia wyznaczonej bielizny, wydawanie produktów z magazynu itp. Był też określony czas: sprzątanie musiało być skończone przed godz. 10, woda musiała być przywieziona przed kolacją, bielizna musiała być wyłatana i oddana w sobotę do obiadu, narąbane drzewo musiało zawsze schnąć za piecem.

Początkowo były duże trudności. Dyżury były niespełnione, lekcje nieodrobione. Niejednokrotnie zastanawiałyśmy się, czyby nie zaniechać tego eksperymentu i nie pójść po utartych i wypróbowanych szlakach. Ale gdy nasi wychowankowie przekonali się, że my lojalnie dotrzymujemy zobowiązań i że po wykonaniu swego przydziału pracy każdy z nich jest rzeczywiście wolnym — zmienili się i oni. Zaczęli pracować szybko, sprawnie — bo opłacało im się to. Zaczęli się interesować zegarem: ile też czasu zużywa się na taką pracę, na przepisanie jednej stronicy, na obranie miski kartofli. Zaczęli próbować zwiększać tempo pracy.

Po kilku miesiącach zmiany były widoczne: rano nikt nie marudził, nikt się nie obijał. Szkoda czasu, czyżby miało się stracić udział w zbiórce harcerskiej, w „pójściu" na kajak i na ryby, w rozgrywkach w warcaby — z powodu nieodrobionych lekcyj lub brudnych schodów?

Niektóre prace, np. rąbanie drzewa, szycie, prasowanie zaczęto wykonywać zawczasu, na kilka dni z góry. — Rano przed godz. 7 zawsze kilku wychowanków wymykało się z sypialni do uczelni, aby w spokoju odrobić lekcje i mieć potem wolne popołudnie.

Wychowankowie nasi w stosunkowo bardzo krótkim czasie zwiększyli bodaj dwukrotnie swoje tempo pracy. Na pra-

cę nie narzekali, przeciwnie — cieszyli się, że tak sprawnie im idzie.

Przy dążeniu do wpojenia dzieciom i młodzieży nawyku intensywnej pracy ważną jest rzeczą, aby równolegle wdrażać do codziennej samooceny tejże pracy. Jeżeli dorośli potrzebują i pragną uznania dla swych poczynań, cieszą się wyróżnieniem, awansem, orderem, to cóż dopiero dzieci. Jakżeż zniechęca je niedocenianie ich wysiłków oraz uogólnianie w rodzaju: „Ty zawsze źle sprzątasz". A właśnie, że nie zawsze, bo w piątek było czysto — „a jak tak, to nie będę się więcej starać, bo nie warto!".

Ocena pracy powinna więc być codziennie zanotowana, a w stałych terminach (np. co 2 lub 4 tygodnie) musi być obliczona średnia ocena. I każdy wychowanek musi z góry wiedzieć co uzyska lub straci, mając ostateczną ocenę dobrą lub dostateczną.

Jako stałą nagrodę za ostateczną dobrą ocenę wykonywania dyżurów stosowałam kino. I proszę sobie wyobrazić, że nie zdarzyło się, aby chłopiec przez trzy okresy z rzędu choć raz nie zarobił sobie na kino. Największy leń zdobywał się na stały wysiłek, gdy nabierał pewności, że ten wysiłek się opłaci.

I nikt nie prosił, nie skamlał o to wymarzone kino — każdy wiedział, że może je zdobyć własnym wysiłkiem.

Powyższe rozważania są odpowiedzią na część zagadnienia postawionego na początku tego artykuliku.

Może do następnych spraw uda się jeszcze kiedyś nawiązać.

Zofia Zbyszewska

PRZED POMNIKIEM WIELKIEGO CZŁOWIEKA

Nie wiadomo, nie wiadomo wcale,
co w życiu ciebie czeka.
I ty możesz wyrosnąć
na Wielkiego Człowieka.
Może tak się w twoim życiu stanie,
może z tobą tak się właśnie zdarzy,
że ty zrobisz to, że ty to zdobędziesz,
o czym tylu ludzi próżno marzy.
Może twoje serce będzie tak gorące,
może ty mieć będziesz tyle siły,

że obronisz słabych i skrzywdzonych,
że świat zmienisz na dobry i miły.
Może twojej matce będą błogosławić,
że dzielnego wychowała syna.
...Nie wiadomo, nie wiadomo wcale,
jak się Wielkość w życiu rozpoczyna.

Ewa Szelburg-Zarembina

WARSZAWA SZUKA SWOICH DZIECI

Przed powstaniem, wiosną 1944 r. było w Warszawie 59 domów dziecka. Wszystkie zostały wysiedlone. Zostało też wysiedlonych ok. 10 domów dziecka z okolic Pragi. 17 stycznia 1945 r. oswobodzona zostaje Warszawa. 4 lutego powstaje 4-osob. Wydział Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego Warszawy lewobrzeżnej (prawy brzeg — Praga — miał już swój kilkumiesięczny zarząd i swój Wydział Opieki Społecznej). 8 marca organizuje się w Wydziale lewobrzeżnej Warszawy referat domów dziecka. Referat jest — nie ma domów. Władze miejskie skłonne są uznać ten stan za szczęśliwy — interesuje je przede wszystkim los dzieci warszawskich w obrębie stolicy. Wydział stawia jednak sprawę mocno: samorząd obowiązany jest do opieki nad swymi dziećmi, gdziekolwiek by się one znajdowały.

Rozpoczyna się szukanie warszawskich dzieci po całym kraju. I tych, które były przed powstaniem w zakładach, i tych, które zagubiwszy lub straciwszy rodziców w powstaniu znalazły opiekę w zakładach na terenie całego niemal kraju. Nowe władze dopiero się konstytuują, nikt nic nie wie, brak źródeł informacji. Zdobywam wreszcie dane orientacyjne od organizującego się właśnie Wydziału Opieki Społecznej urzędu wojewódzkiego warszawskiego (dla lewego brzegu Wisły z siedzibą w Pruszkowie) i dokładniejsze — od Biura RGO w Pruszkowie, które przed ofensywą sowiecką w styczniu 1945 r. prowadziło akcję poszukiwania domów wysiedlonych i niesienia pomocy. Pięciu lustratorów wyjeżdża w nieznane na poszukiwanie dzieci Warszawy i na zbadanie sytuacji domów, które się nimi opiekują. Obejmujemy województwa: warszawskie, łódzkie, kieleckie i krakowskie.

Wyjeżdżają w połowie marca: Irena Adamowicz, Maria Krasnodębska, Jadwiga Ligocka, Tatiana Rul, Stefan Zgrzembski.

Do maja praca jest zakończona. W maju opracowane zostają ostatecznie przez Marię Szczawińską ogólne wyniki szczegółowych lustracyj domów.

Kto próbował podróżować po Polsce w 1945 r., ten wie dobrze, że zadanie dotarcia lustratorów do zakładów — nie było rzeczą łatwą. Szczególnie nie łatwe było to na terenie woj. warszawskiego , gdzie ulokowało się najwięcej domów dziecka. Trzeba było udać się najpierw do miast powiatowych i pytać starostów, PKOS-y i inne organizacje o to, co wiedzą o istnieniu zakładów na swoim terenie, a potem wyruszać na poszukiwanie tych domów. Jeździli lustratorzy na tendrach, jeździli na lokomotywach — uczepieni gdzieś z boku, na węglarkach, na stopniach wagonów, jeździli autami wojskowymi i furmankami, przemierzali pieszo odległości 20- i 30-kilometrowe (w jedną stronę) po marcowym błocie, w deszczu lub śniegu — w popowstaniowym ubraniu i obuwiu.

Powiedziałam niedawno o jednej z koleżanek, że ona to właśnie jeździła po województwie krakowskim w poszukiwaniu warszawskich dzieci. Sprostowała: — „chciałaś powiedzieć: chodziłam po krakowskim? tak, chodziłam".

Znaleźliśmy w ciągu niecałych 2 miesięcy 61 zakładów opiekujących się naszymi dziećmi, a w nich około 2.600 dzieci.

Robiliśmy zestawienie wyników lustracji, podawaliśmy najbardziej drastyczne przykłady bytowania dzieci, obliczaliśmy sumy konieczne dla poprawienia ich sytuacji, pisaliśmy memoriały i wnioski.

Pewne rezultaty osiągnęliśmy. Miejska Rada Narodowa uznała konieczność zainteresowania się losem swoich dzieci. Stawka dzienna 5 zł 50 gr obowiązująca w Warszawie prawobrzeżnej zostaje w marcu podniesiona do 10 zł, a następnie do 20 zł. Warszawa zdobywa przydziały odzieżowe dla swoich dzieci, woła o unormowanie sprawy aprowizacji terenu.

W czerwcu 1945 r. akcja docierania do zakładów, informowania się o ich sytuacji oraz walki o ich prawa rozciąga się już na teren całego kraju i obejmuje wszystkie zakłady dziecięce bez względu na ich pochodzenie terenowe i charakter. Prowadzi je Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej w oparciu o doświadczenie i wiedzę Warszawy — zdobyte w ciągu niecałych 3 miesięcy prac referatu domów dziecka.

Sytuacja lustrowanych wiosną 1945 r. zakładów była katastrofalna.

Trzymały się jeszcze jako tako zakłady nie ruszane ze swoich posad, zakłady posiadające własne gospodarstwo — choć i te były prawie zawsze zdewastowane przez przechodzące wojska.

Większość stanowiły zakłady tułacze. Z Warszawy lub jej najbliższych okolic, szczególnie dotkniętych działaniami wojennymi zostały ewakuowane. Co to znaczy? To znaczy, że wyszły z tych zakładów dzieci i personel. Czasem 1 furmanka pościeli — częściej nie. Mówi się w takich wypadkach: „wyszli, jak stali". I tak rozpoczęli życie na obcym terenie, w przygodnym lokalu, bez łóżek, stołów, kołder, sienników, prześcieradeł, często bez zimowego ubrania i naturalnie bez butów, bez talerzy, łyżek, kotłów, miednic.

Personelowi tych domów należy się najwyższy szacunek. Parę tylko zdarzyło się wypadków, że personel rozszedł się po świecie, rozdawszy dzieci chłopom czy rodzinom miasteczkowym. Nie kilka — a parę. We wszystkich pozostałych — pozostał i dokazywał prawdziwych cudów, aby dzieci nakarmić, ubrać, zdobyć coś, na czym i pod czym mógłby położyć je spać, opalać im izby, leczyć w chorobie. Nie tylko — i uczyć. Dzieci nie straciły roku szkolnego 1944/45. Nie straciły go dzięki postawie swoich wychowawców, dla których brak słów uznania. A trzeba pamiętać, że działo się to w okresie, kiedy żadne władze, żadne instytucje nie miały sił na to, aby podjąć odpowiedzialność za życie dzieci w zakładach. Każde uratowane dziecko — to wyłączna prawie zasługa pracowników domów wychowawczych. Społeczeństwo przyczyniało się w miarę swoich możliwości zarówno materialnych jak psychicznych (dobre serce — słomiany ogień) do podtrzymania życia zakładów.

Podaję wyjątki z lustracji niektórych domów dziecka:

Zakład na 22 dzieci mieści się całkowicie w wynajętych dwu izbach brudnych i wilgotnych. Dzieci śpią na podłodze, na stołach i ławkach. 12 sienników, 20 koców. Zupełny brak bielizny pościelowej. 6 ręczników. Brak bielizny osobistej, ubrania i obuwia.

Zakład na 55 dzieci ma 2 łóżka, 15 sienników, 9 koców, 7 prześcieradeł, 2 poszewki, 12 ręczników, po jednej zmianie bielizny osobistej b. zniszczonej, zupełny brak butów i płaszczy. Dzieci śpią po 3—4 na jednym posłaniu. Stały świerzb. 2 miednice, 4 wiadra, 27 kubków, 33 łyżki, 1 nóż.

Zakład na 21 dzieci zajmuje 1 izbę szkolną, całkowity brak umeblowania. Dzieci śpią na podłodze na siennikach. 7 poży-

czonych prześcieradeł, 2 własne, 10 poszewek, 20 ręczników. Zupełny brak obuwia. Sprzęt gospodarski wypożyczony od ludności okolicznej w ilości niedostatecznej, np. 15 łyżek. Personel odszedł, nie wytrzymując warunków, została tylko kierowniczka.

Zakład na 25 dzieci. Liczba dzieci miejskich na 1. IV. 45 — 25. Liczba personelu na 1. IV. 45 — 5. Zakład zajmuje piwnice budynku spalonego w czasie wojny w r. 1914 — do chwili zajęcia piwnic przez Zakład stały one puste. Poza tym zakład korzysta z jednej sali pawilonu myśliwskiego, który obecnie zamieszkują wysiedleni z Warszawy.

Zdrowie dzieci:

a) okolica wilgotna, zakład położony w parku;
b) lokal zakładowy — piwnica wilgotna i ciemna (sypialnia na parterze — brudna, ciasna, trudna do ogrzewania — b. wysoka);
c) brak urządzeń — ubikacja b. prymitywna o 100 m od zakładu, używana również przez pracowników dworskich;
d) ogrzewanie piecami (trocinowe);
e) oświetlenie naftowe i świece.

Z powodu nieodpowiedniego pomieszczenia i ciasnoty utrzymanie czystości jest b. trudne. Właściwie jest brudno.

Odmrożenia w czasie zimy były b. częste. W dwóch wypadkach poważniejsze odmrożenie nóg.

Najczęstsze choroby: przeziębienie, żołądek.

W zakładzie chorymi zajmuje się wychowawca. Specjalnych kwalifikacji do tego nie posiada.

W sypialni jest specjalna prycza przeznaczona dla chorych. Pokoju - izolatki nie ma.

Zakład na 61 dzieci.

Zakład mieści się w czynnej szkole powszechnej — zajmuje 3 sale i korytarz.

3 sale w budynku szkolnym widne, duże, bez żadnego urządzenia. Dzieci śpią na siennikach na podłodze. W jednej z sypialni w ciągu dnia odbywają się lekcje. Stoły jadalne znajdują się na korytarzu.

Utrzymanie czystości w salach zajmowanych przez zakład jest b. trudne ze względu na brak umeblowania i ciasnotę. Brak mydła do prania.

Czystość osobista dzieci bardzo jest przestrzegana. Dzieci myją się 2 razy dziennie — wieczorem dokładniej. Kąpiel raz na miesiąc. Zmiana bielizny raz na tydzień. Brak bielizny pościelowej (prześcieradeł, kopert). Brak mydła do mycia.

Bardzo dużo owrzodzeń — czyraków z niedożywiania.

Najczęstsze choroby od 1. VIII. 1944 r. — żołądek, przeziębienie.

Zakład na 51 dzieci. 3 osoby personelu.

Stosunek okolicznej ludności do zakładu nieprzychylny. Uważają zakład za intruza, który zabiera im należne tereny i rzeczy.

Władze nie pomagają zakładowi. Jednorazowa pomoc — 200 kg mąki.

Inwentarz ruchomy — b. zniszczone ubrania nadające się do wykreślenia z inwentarza (b. brudne łachmany), całkowity brak butów, bielizny pościelowej nie ma nawet na jedną zmianę, brak bielizny osobistej: koszul wystarcza na jedną zmianę, kalesonów 15 par na 51 chłopców.

Bardzo wielu chłopców ma świerzb czynny — ślady poświerzbowe — prawie wszyscy. Krosty, wrzody, rany zaniedbane. Widoczny jest brak opieki higieniczno-pielęgniarskiej.

Najczęstsze choroby w zakładzie — skórne (świerzb), krosty, (sądzę, że z brudu), poza tym przeziębienie z braku odzieży.

Chorymi na miejscu zajmuje się wychowawca, którego kwalifikacji w tym zawodzie nie mogłam ustalić.

Ogólna liczba dzieci — 57.

Brak koców — na 57 dzieci zakład posiada 5 kołder i 3 koce. Dzieci śpią pod własnymi paltami. Zupełny brak bielizny pościelowej (prześcieradeł, poszewek i podpinek). Brak butów i pończoch. Ręczniki zakład posiada na jedną zmianę.

W marcu wyżywienie ograniczało się do kartofli i mąki razowej z dawnych zapasów.

W marcu wydatków żadnych nie było z powodu braku pieniędzy.

W dzień zakład robi b. przyjemne wrażenie: czysto, jasno, przewiewnie. Braki w zakresie higieny zauważyć można dopiero wieczorem, kiedy dosłownie każdy kawałek podłogi w pomieszczeniach zajmowanych przez zakład jest wykorzystany na posłania. Wieczorem zakład robi wrażenie poczekalni kolejowej, w której podróżni śpią skuleni pod własnymi płaszcza-

mi. 38 starszych dziewcząt (10—16 lat) śpi na 19 siennikach (po 2 na jednym), bez poduszki, prześcieradła i koca, pod paltami.

Małe dziewczynki śpią na kilku siennikach na podłodze na prześcieradłach i pod 7 powleczonymi kołdrami (na 20 kilka dziewczynek 7 kołder). W porównaniu ze starszymi małe mają luksusowe warunki spoczynku nocnego.

Brak pomieszczeń — pokoju jadalnego, do nauki, izolatki i sypialni (część dziewcząt śpi w hollu). Jedzenie i odrabianie lekcyj odbywa się we wszystkich możliwych miejscach i — zwłaszcza nauka — w b. nieodpowiednich z punktu widzenia higieny warunkach (pisanie na stojąco przy parapetach okiennych za wysokich lub za niskich). Kuchnia służy jednocześnie za pralnię i częściowo za jadalnię.

*

Choć ciekawi byliśmy przede wszystkim: gdzie są wszystkie dzieci, ile ich jest i jak im jest — interesował nas także poziom wychowawczy zakładów, atmosfera panująca w nich wobec tak ciężkich warunków, perspektywy rozwojowe zakładu.

Udawało się czasem znaleźć zakłady ciekawe. Opowiemy o kilku z nich.

Pewnego dnia — nie dnia, a nocy — jedna z lustratorek w towarzystwie milicjanta (było kilka godzin po godzinie policyjnej), śmiertelnie przemarznięta po 6-godzinnej jeździe na węglarce w czasie śnieżnej zadymki zapukała do jednego z zakładów skierniewickich. Nie chciano jej wpuścić — dość już tych osób oglądających i pytających. Potrzebna była zdecydowana interwencja milicjanta.

I okazało się — że w Skierniewicach pracują dwa zakłady, a pod Skierniewicami trzeci, domy dobrze zorganizowane i prowadzone na wysokim poziomie mimo ciężkiej sytuacji materialnej, domy pozostające z sobą w kontakcie.

Starania gospodarcze pochłaniały nam tyle energii i czasu, że nie nawiązaliśmy żadnego bliższego kontaktu z tą grupą zakładów — cieszyliśmy się tylko świadomością jej istnienia. Kiedy jesienią 1946 r. do zakładów tych dotarła powtórnie dawna lustratorka Wydziału Opieki Społecznej Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy, tym razem w roli instruktorki Ministerstwa Oświaty — okazało się, że praca ich i współpraca rozwija się i pogłębia.

Na zjeździe kierowników domów dziecka okręgu szkolnego łódzkiego uzgodniliśmy z kierownikami tych domów cykl artykułów sprawozdawczych z ich prac, ale... doprowadzić wychowawcę do pisania o swojej pracy — zadanie niełatwe. Jemu to niepotrzebne — od tego jego dzieci nie będą miały lepszego jedzenia ani całych butów. Zresztą nie ma o czym pisać — wszystko to takie proste i nieciekawe! Oczywiście — terminy nie były dotrzymywane. Dopiero dzisiaj otrzymaliśmy pierwszy z obiecanej serii artykułów — historię 3 domów. Historia ta w opowieści ustnej jest znacznie ciekawsza, barwniejsza, głębsza — niż w nieśmiałej wypowiedzi pisemnej, która niepotrzebnie pomija wkład pracy personelu w zachowanie domów.

Irena Chmielcńska

SKIERNIEWICKIE DOMY DZIECKA

Tragiczne skutki ostatniej wojny światowej nie oszczędziły oczywiście i dziecka. Dziecko przeżyło wojnę osobiście, namacalnie, a widomymi śladami tych przeżyć są zarówno setki tysięcy mogiłek rozsianych po świecie, jak i idące w miliony sieroctwo. Jeśli zaś w tym smutnym bilansie uczestniczyły dzieci całego świata — to, zaiste, niepoślednia jego pozycja przypada w udziale dziecku polskiemu.

*

Zaszczytny i obywatelski obowiązek w dziele neutralizowania tragicznych skutków wojny odnośnie dziecka polskiego wypełnił powiat skierniewicki czy to drogą bezimiennego poświęcenia pojedynczych jego obywateli, czy też za pośrednictwem RGO w okresie okupacji a PKOS w okresie po wyzwoleniu. Widomym świadectwem powyższego są obecnie na terenie powiatu 3 domy dziecka: 2 w samych Skierniewicach i 1 w Strobowie, gm. Dębowa Góra. Specyficzną jest historia każdego z nich, różne przechodziły koleje. Dziś, w okresie stabilizowania się prawnych, materialnych i wychowawczych podstaw domów dziecka w całej Polsce, warto rzucić okiem wstecz na historię skierniewickich domów dziecka, a to gwoli nie tyle może jej zarejestrowaniu, ile dania świadectwa tej prawdzie, że w najtrudniejszych nawet okresach narodowego bytowania — dziecko nie zostało pozostawione samo sobie.

*

„Ognisko" — Dom Chłopców w Skierniewicach, ul. Stanisławska 5.

Zakład powstał dn. 17. III. 1942 r. w wyniku tragicznych wydarzeń spowodowanych okupacją niemiecką.

Społeczeństwo m. Skierniewice podjęło wówczas myśl zaopiekowania się sierotami i półsierotami po rodzicach - ofiarach terroru niemieckiego. Chodziło przede wszystkim o dzieci więźniów politycznych zmarłych w obozach koncentracyjnych (Oświęcim) lub zaginionych w obozach pracy przymusowej w Niemczech. W tym celu zorganizowany został tzw. wówczas Internat Wojenny, przy ul. Senatorskiej, w którym zaopiekowano się grupą około 30 chłopców. Wtedy to miały również miejsce pierwsze skierowania do Zakładu sierot wojennych m. st. Warszawy.

Pojemność domu czynszowego przy ul. Senatorskiej okazała się wkrótce niewystarczającą w stosunku do narastających potrzeb. Dzięki usilnym staraniom społecznego Zarządu Internatu udało się po roku uzyskać oddzielny budynek przy ul. Stanisławskiej 5 oraz 5 pokoi w budynku po drugiej stronie ulicy, we wspólnocie z pozostałymi lokatorami. Wtedy to zakład rozpoczął życie jako Schronisko dla Sierot Wojennych, dając opiekę całkowitą około 60-ciu chłopcom. Podstawy materialne schroniska dawało przede wszystkim społeczeństwo samo w oparciu organizacyjnym o RGO.

Wybuch powstania warszawskiego i cały jego przebieg rozpoczął okres prawdziwej gehenny dziecka Warszawy. Skierniewice, leżące na szlaku transportowym ewakuowanych mieszkańców Warszawy, stały się naocznym świadkiem niedoli warszawskiego dziecka. Szczególnie dworzec kolejowy. Rozpoczęła się gorączkowa akcja zabierania i wykradania z transportów dzieci chorych, opuszczonych, osieroconych i skierowywania ich do schroniska. Tu otrzymywały pierwszą pomoc lekarską, tu znalazły opiekę materialną i wychowawczą. Prowadzona jednocześnie akcja poszukiwania zaginionych rodziców dawała niejednokrotnie pozytywne rezultaty.

Płynność przychodzących i odchodzących dzieci (około 1.000 chłopców i dziewczynek) była w tym czasie ogromna i trwała mniej więcej do wakacji 1945 r. Schronisko przejął w tym czasie Powiatowy Komitet Opieki Społecznej.

Początek 1945/46 r. szkolnego — to okres stabilizowania się elementu wychowanków. Pozostali ci, którzy nie odnaleźli

nikogo z rodziny, ewentualnie ci, których odnalezione matki nie mogły zabrać ze względu na warunki materialne życia, szczególnie z m. st. Warszawy.

Od tegoż roku szkolnego rozpoczęła się normalna praca szkolna wychowanków, przygotowanie do zawodu oraz praca wychowawcza i samowychowawcza. Z momentem przejęcia nadzoru nad zakładami przez Ministerstwo Oświaty — Schronisko otrzymało nazwę powszechnie przyjętą: „Dom Dziecka", a jako symbol odróżniający młodzież przyjęła „Ognisko" — i pod tą nazwą kontynuuje dzieło rozpoczęte przed 5 laty.

Ognisko liczy obecnie 50 wychowanków w wieku 10—18 lat w tym 24 sierot i 26 półsierot. W liczbie tej znajduje się 28 dzieci warszawskich.

*

„W słońcu" — Dom Dziecka w Skierniewicach ul. Kozietulskiego 5

Dom Dziecka „W słońcu" powstał na początku 1940 roku w Warszawie przy ul. Okopowej 59 jako Schronisko 5 dla dzieci rodzin wysiedlonych i uchodźców. Z uwagi na względnie dobre warunki przestrzenne zakładu — skierowywane tu były dzieci (chłopcy i dziewczęta) od lat 3 do 14, przydzielone z innych schronisk, jako najsłabsze i potrzebujące specjalnie troskliwej opieki. Były tu również dzieci tych rodzin wysiedlonych, które mieszkały kątem u znajomych. Pobyt ich w zakładzie określony został na okres trzech miesięcy, po czym wracały do rodziców.

Ten turnusowy i selekcyjny charakter schroniska utrzymał się do końca 1941 r. Ponieważ w każdym turnusie znalazły się dzieci, które w międzyczasie straciły rodziców lub których rodziców nie można było odnaleźć — przeto pod koniec tego roku w schronisku przebywały już same sieroty lub dzieci opuszczone a liczba ich wzrosła z 50 do 100.

Opiekę organizacyjną i materialną nad schroniskiem sprawowała wówczas Sekcja Opieki nad Wysiedlonymi i Uchodźcami przy Stołecznym Komitecie Samopomocy Społecznej.

Napływ nowych wychowanków był stały i duży, rozpiętość wieku — od 1½ do 17 lat. Zaszła wówczas konieczność lokalowego rozszerzenia schroniska. Na wiosnę 1943 r. chłopcy pozostają na Okopowej, a dziewczynki przeszły na Służewiec, do willi „W słońcu" przy ul. Ikara 13a jako Schronisko 5a.

Jeden rok tylko cieszyły się dziewczynki domem „W słońcu". W lipcu 1944 r. wyjechały na kolonię letnią do Żelaznej pod Skierniewicami i już do Warszawy nie wróciły. Wybuch powstania warszawskiego zastał je poza własnym domem. Oderwane przez powstanie od Warszawy, głęboko przeżywały los swój i los tych bliskich, których zostawiły w Warszawie.

W Żelaznej zakład znalazł się w bardzo trudnych warunkach materialnych, tym bardziej, że ilość dziewcząt ciągle powiększała się przez napływ chorych i pogubionych w transportach powstaniowych. Starsze dziewczynki chodzą do żniw, do kopania kartofli, do ogrodu, aby zarobić na własne utrzymanie. Dużej pomocy materialnej udzielają okoliczne dwory.

W lutym 1945 r. przenosi się zakład do Skierniewic, gdzie uzyskał dwie wille: przy ul. Piłsudskiego 6 dla najmłodszych— od lat 3 do 7 i część willi przy ul. Kozietulskiego 5 dla starszych — od lat 7 do 15.

Rozpoczyna się normalna już praca dziewcząt. Starsze idą do szkół. Młodsze mają zorganizowane zajęcia przez sam zakład. Do kwietnia 1945 r. około 30 % dziewcząt odnajduje swe matki lub bliskich krewnych. Jest to również okres ogromnego borykania się z trudnościami materialnymi. Szczególnie duże są braki odzieżowe i wyżywieniowe. Szczęśliwie jednak udaje się je usunąć. Kolonia letnia w Zakopanem latem 1945 r. wpłynęła wybitnie na poprawę stanu zdrowotności.

Ciasnota lokalowa i związane z nią kłopoty nie pozwalają na dalszy ilościowy rozwój zakładu, tym bardziej że w październiku 1945 r. odebrano nam willę dla najmłodszych. W wyniku powyższego musieliśmy nasze najmłodsze przesłać do Domu Dziecka w Strobowie. Pozostały starsze w liczbie 35 dziewcząt, a po uzupełnieniu nowoprzybyłymi — obecny stan wychowanek waha się w granicach do 50.

„Znicz" — Dom Dziecka w Strobowie, pow. Skierniewice

Ośrodki Zdrowia m. st. Warszawy zorganizowały na terenie powiatu skierniewickiego kolonie letnie dla dzieci warszawskich we wsiach: Starej Rawie, Jeruzalu, Świętem, Rzędkowie i Pamiętnej.

Beztroskie dni pełne życia i radosnego gwaru na koloniach przerwała nagła wieść o wybuchu powstania w Warszawie. Los dzieci został przesądzony. Nie było powrotu do płonącego miasta i do najbliższych. Rozpacz dzieci nie miała granic.

W tej sytuacji zrodziła się konieczność życiowa zorganizowania dla odciętych od rodzin dzieci stałej placówki opiekuńczej — schroniska.

Organizację zakładu powierzono kierownikowi kolonii letniej w Starej Rawie. Za tymczasową siedzibę zakładu obrano wieś Kochanów, w gminie głuchowskiej, pow. skierniewickiego, z dala od okopów i obiektów wojskowych. Zakład rozlokował się w opuszczonych przez Niemców pięciu budynkach bez okien, drzwi, podłóg, urządzeń kuchennych i najprymitywniejszego choćby umeblowania. Dzień 3 września 1944 r. jest datą zorganizowania Schroniska dla Sierot Wojennych w Kochanowie. Do schroniska zaczęło napływać coraz więcej dzieci z transportów z Warszawy i Pruszkowa. W dniu 14 września 1944 roku schronisko liczyło już 140 dzieci i 28 pracowników.

Stan budynków mieszkalnych, brak sprzętu i urządzeń stwarzał dla zakładu sytuację niemal tragiczną. Właściwie rozpoczęło się życie nie zakładowe, lecz obozowe, na poły koczownicze. Wpłynęło to oczywiście na stan zdrowotny, rozpowszechnianie się najrozmaitszych chorób i schorzeń. Tylko łagodna zima, wysiłek i poświęcenie pracowników spowodowały, że szczęśliwie przetrwano ten ciężki okres życia (zmarło tylko jedno dziecko).

17 stycznia 1945 r. wystrzały artylerii frontowej oznajmiły zbliżające się wyzwolenie. Wiele dzieci wróciło do swych ojców i matek, dla wielu jedyną matką pozostała Ojczyzna.

10 marca 1945 r. Schronisko przeniosło się do nowej siedziby, do ośrodka rolnego Strobów, w gm. Dębowa Góra. Tu wreszcie rozwiał się koszmar niepewnego jutra, ustaliły się warunki bytu 80 pozostałych z tego okresu sierot i półsierot.

Zakład mieści się w dobrze zachowanym pałacu, posiada duży ogród, stawy oraz ośrodek rolny około 30 ha. Właścicielem zakładu jest Powiatowy Komitet Opieki Społecznej w Skierniewicach.

*

Tyle historii. Prosta ona zda się w czytaniu. O faktycznej jej treści mogą powiedzieć jedynie ci, którzy w obronie dziecka nie szczędzili czasu ani wysiłków i uratowali wiele, wiele ich setek.

Józef Woszczak

TRZY RÓŻNE DNI W DOMU DZIECKA W SKIERNIEWICACH

Dzień sierpniowy 1944 r.

Lipiec upływał w jakimś dziwnym i tajemniczym nastroju.

Chłopcy i dziewczęta przeżywali każdy dzień w atmosferze ciągłego niepokoju, jakkolwiek nikt nic konkretnego nie wiedział. — Coś jednak musi w tym być i to coś niezwykłego — mówili między sobą — bo po co te bandaże? Po co nagle takie przeciwpożarowe ostrożności?

— Coś wisi w powietrzu — mówili chłopcy.

— Na pewno coś się stanie — szeptały dziewczęta.

Nagle wybuchł tragiczny wtorek 1 sierpnia, a po nim dni pełne głębokich przeżyć i wrażeń. Życie zakładowe uległo dezorganizacji. Oto do Skierniewic — siedziby zakładu — nadchodzą pierwsze transporty warszawskich wysiedleńców. W cegielni przy ul. Mszczonowskiej tworzy się prymitywny obóz wysiedleńców, a wśród nieszczęśliwych jego mieszkańców snują się jeszcze nieszczęśliwsze dzieci. Większe i mniejsze, i całkiem malutkie, a wszystkie przerażone, wynędzniałe, brudne i zawszone.

Trzeba ratować dzieci z Warszawy, trzeba ulżyć ich doli tragicznej.

Oto do zakładu przybywa pierwsza grupka dzieci z cegielni, potem druga, potem jakaś pani przyprowadza chore dziecko z dworca, inna oddaje pod opiekę małego Henia, który zagubił się w transporcie. W chwilę później zjawia się ciężarna matka, zostawia w zakładzie 3-letnią Ewunię a sama udaje się do szpitala.

Skromny i ciasny lokal zakładu wchłania w siebie całą tę gromadkę dzieci. Trzyosobowy personel wychowawczy, wychowanki i wychowankowie żyją teraz pod znakiem akcji samarytańskiej. Jednych kąpią, drugich pocieszają, innych wreszcie karmią lub przygotowują dla nich lokum w sypialniach. To nic, że będą spać po dwoje, to nic, że trzeba będzie podzielić się przydzielonymi porcjami żywności!

W obu budynkach zakładu niesamowita krzątanina trwa do późnego wieczora.

Powoli jednak wszystko ucisza się. Na jednym z łóżek wybucha nagle głośny płacz:

— Gdzie moja mamusia?

W kącie odwrócona do ściany jasna główka małej Hani wtuliła się w skromną poduszkę i pochlipuje serdecznie.

Tych trzeba jeszcze pocieszyć i podtrzymać nadzieją na odzyskanie najdroższych.

Rola personelu kończy się późno w noc.

W końcu przemożny sen okazuje się silniejszy nawet od tragicznych przejść ostatnich dni. Silniejszy i błogosławiony, bo każe na kilka godzin zapomnieć dziecku o jego niedoli.

Dzień styczniowy 1945 r.

Jak letnia burza, nagle i niespodziewanie, przewaliła się przez Skierniewice styczniowa ofensywa.

Przeżycia ostatnich dni wytrąciły zakład z jako tako normalnego biegu dnia po sierpniowej tragedii i jej skutkach odczuwanych namacalnie wśród wychowanków. Rozgorączkowani chłopcy opowiadają sobie o minionych wydarzeniach sprzed kilku dni, dzielą się spostrzeżeniami i uwagami na temat okoliczności wkroczenia wojsk sowieckich i przepędzenia wreszcie niemieckiego okupanta.

W zakładzie roi się od zdobycznych trofeów wojennych. Oto Janek przyniósł z ulicy porzucony bagnet a Wiesiek jakieś szczątki połamanego karabinu. Niesłychaną atrakcją stają się lonty prochowe zwane dowcipnie „myszkami". Ich cudowną wprost własnością jest to, że zapalone w jednym końcu skaczą jak żywe, dając powód do wybuchów indiańskiej wprost radości. Po kieszeniach, kasetach i tajemnych skrytkach pełno wszelakich naboi a swąd spalonego prochu unosi się po wszystkich pomieszczeniach.

Nareszcie coś nowego dla naszych chłopców. Dziewczęta raczej boją się tych wszystkich wybryków, ale i one żyją pod znakiem wojennych wydarzeń. Personel wychowawczy jest zrozpaczony. Wszelkie zakazy odnośnie zabaw z materiałami wojennymi niewiele skutkują. „Taka okazja zdarza się raz na sto lat" — zauważa któryś z chłopców na swe usprawiedliwienie.

Jednocześnie dziś miały miejsce pierwsze ucieczki z zakładu.

Zygmuś, dziecko Warszawy, nie wytrzymał na miejscu. Jemu zbyt pilno było zobaczyć swe rodzinne miasto.

Antoś pragnął jak najszybciej i osobiście stwierdzić stan pozostawionego na łasce losu mieszkania przy ul. Wolskiej.

— A może uda mi się coś uratować? — mówił do kolegów.

— A może natrafię na ślad tatusia i mamusi? — z lękiem mówi Henio.

Sprawa pozwolenia wychowawców — to w takich wypadkach całkiem nieistotna formalność.

Poszli szukać zaginionego miasta i ludzi. Sami.

Zakład gościł dziś również dwie matki dopytujące się o swe zaginione dzieci.

Odnalezienie się matki Basi staje się zrozumiałym powodem do żalu ze strony innych dzieci.

Tymczasem sytuacja materialna, a w szczególności żywnościowa zakładu staje się bardzo ciężka. Brak przede wszystkim chleba i tłuszczów. Zapasy w magazynie bardziej niż skromne. Stąd też cały wysiłek kierownictwa i personelu skierowany jest dla zapewnienia dzieciom chociażby minimum egzystencji. Mimo ogólnej dezorganizacji udaje się ten problem rozwiązać szczęśliwie.

Przed nami lepsze jutro w wyzwolonej Polsce.

Dzień wrześniowy 1946 r.

Cała zawierucha wojenna jest już poza nami. Życie w zakładzie ustabilizowało się już prawie całkowicie.

Do odnalezionych rodziców i krewnych odeszła Basia, Janeczka, Waldek, Danusia, Jurek i wiele, wiele innych. Pozostali ci, którzy nie odnaleźli i pewnie nie odnajdą już nikogo, albo ci, których matki nie są jeszcze w stanie zaopiekować się swymi dziećmi. Z około 30 dziewczynek pozostało już tylko 9, a i te przeszły do domu dziecka dla dziewczynek przy ul. Kozietulskiego. Na miejsce chłopców, którzy również odeszli — przybyli inni.

W naszym „Ognisku" jest około 50 samych chłopców.

Rano idą do różnych szkół. Wszyscy się uczą. Najwięcej oczywiście „powszechniaków", potem gimnazja ogólnokształcące i zawodowe. Sześciu odbywa praktyki terminatorskie i uczęszcza do Dokształcającej Szkoły Zawodowej.

Nauka w szkole — to pierwszy obowiązek wychowanka. Dumą „Ogniska" pod tym względem — to 3 % niepromowanych w 1945/46 roku szkolnym wobec przeciętnej 20 % dla całej Polski.

Ale oto zbliża się pora obiadowa. Powoli zbierają się chłopcy i w oczekiwaniu obiadu zabawiają się na podwórku. Jest piłka, są dwie huśtawki, więc nie nudzi się nikomu.

Pora poobiednia — to czas wolny, do osobistej dyspozycji wychowanka. Dobrze jest pójść sobie na spacer poza miasto, albo pobaraszkować z kolegami. Na podwórzu zakładowym pełno dzieci z ulicy. One też chcą się wspólnie pobawić, skorzystać z piłki czy huśtawki. Dzieci z ulicy Stanisławskiej nie tylko zresztą bawią się razem z wychowankami, ale i wspólnie pracują, bo oto widać ich przy stole w godzinach odrabiania lekcji. Przedtem jeszcze dyżurny wychowawca wydaje jednym niezbędne pomoce szkolne, inni proszą o skierowanie do szewca, bo buty się „rozwaliły", inni wreszcie proszą o zaliczkę ze swej „pensji" miesięcznej na bułkę, na znaczek pocztowy czy jeszcze coś innego.

Po odrabianiu lekcji i kolacji pozostaje jeszcze godzina różnych własnych zajęć. Dziś przychodzi do nas prelegentka z pogadanką o celach i zadaniach PCK. Ale w czwartki mamy u siebie kino oświatowe, w środy słuchamy koncertu szopenowskiego przez radio, a w poniedziałki czytamy wspólnie Prusa. Dwa razy w tygodniu mamy próby własnego chóru.

Tematów do zajęć nie brak.

Wiele jest ciekawych spraw na świecie. Wiele chcemy się dowiedzieć i nauczyć w naszym „Ognisku".

A gdy wieczorem przyjdzie chwila na „Sprawy i podzięki" — zastanowimy się nad minionym dniem, by dać sobie odpowiedź na zasadnicze pytanie:

Czy w dniu dzisiejszym, przez pracę, zabawę i zachowanie staliśmy się nieco lepsi i odrobinę mądrzejsi?

Jeśli tak — możemy spokojnie ułożyć się do snu.

Janina Kępińska

Wychowawcy skierniewiccy zaczęli informować nas o życiu swych domów.

Czekamy także na liczniejsze niż dotąd opowieści innych wychowawców o swojej pracy.

Dzielcie się swymi doświadczeniami, swymi myślami.

Redakcja

...nie jest światło, by pod korcem stało.

Cyprian Norwid

SPRAWOZDANIE PAŃSTWOWEGO DOMU DZIECKA W CZERNIEJEWIE

Na wstępie chciałabym dać krótką ogólną charakterystykę naszego domu i jego wychowanków, gdyż na tym tle łatwiej mi będzie omawiać dalsze punkty mego sprawozdania.

Zakład nasz powstał w lutym 1944 r. jako „Dom Dziecka“ w Pieskowej Skale koło Ojcowa, zorganizowany przez Radę Główną Opiekuńczą dla dzieci wywożonych ze wschodnich województw — ratowanych przed faszyst. bandami ukraińskimi. Dzieci te przeszły w większości wypadków bardzo wiele; niektóre z nich potraciły wszystkich najbliższych, inne cudem prawie uratowały się z rąk morderców, jeszcze inne zostawiły na wschodzie rodziców nie wiedząc, czy ich jeszcze kiedy w życiu zobaczą. Przybywały do zakładu całymi rodzinami—po pięcioro, sześcioro; niewiele jest takich, którzy nie mają u nas ani siostry, ani brata. Pierwsza grupa dzieci przybyła do Pieskowej Skały, kiedy zakład był jeszcze w stadium organizacji. Musiały one same dopomagać w doprowadzeniu go do porządku — i dosłownie własnymi rękami budować swój nowy dom.

Większość naszych pracownic — to matki wychowanków, które później od nich przyjechały ze wschodu i były kierowane do nas do pracy. Dwie z wychowawczyń przyjechały razem z nimi ze wschodu i opiekowały się nimi przed wyjazdem.

Wszystko to razem wytwarza specjalną atmosferę w zakładzie; ma on większe od innych możliwości stania się naprawdę domem dziecka, zastępującym mu prawdziwy, na zawsze utracony dom, gdyż skupia wszystkich tych, którzy im z dawnego życia pozostali.

Rozpiętość wieku naszych wychowanków jest bardzo duża. Najmłodsza nasza pociecha skończyła przed paru dniami cztery lata, najstarsza ma lat 19.

Rzecz jasna, że w tak licznej gromadzie chłopców i dziewcząt zróżnicowanie zainteresowań jest też bardzo duże. Ciekawym zjawiskiem jest to, że, jakkolwiek większość naszych dzieci pochodzi ze wsi, zainteresowanie ich pracą na roli i gospodarstwem wiejskim jest bardzo małe. Latem pomagają przy żniwach lub przy wykopkach, ale robią to dość niechętnie. Zaledwie dwoje chodzi na praktykę letnią do miejscowego ogrodnika. Chłopców najwięcej interesują wszelkiego rodzaju maszyny; w konstruowaniu ich są niesłychanie pomysłowi. Niestety, nie możemy tych ich zainteresowań odpowiednio wykorzystać, gdyż brak nam zarówno instruktorów jak warsztatów. Pomimo to z prawdziwym podziwem przyglądałam się nieraz

skonfiskowanym naszym chłopcom karabinom i rewolwerom wykonanym przy pomocy scyzoryka, którym właściwie bardzo już niewiele brakowało do doskonałości. Chłopcy z wielkim zainteresowaniem przysłuchują się, gdy się im czyta artykuły popularne o nowych odkryciach czy wynalazkach. Bardzo często podczas omawiania treści tego, co się przeczytało, wypowiadają uwagi, które świadczą o rozwiniętej spostrzegawczości i umiejętności logicznego myślenia. Staramy się zaspokajać te ich zainteresowania dobierając odpowiednią lekturę, kupując pisma popularno-naukowe, jak „Wiedza i Życie". Wielkim powodzeniem cieszy się u nas „Młoda Rzeczpospolita".

Dzieci nasze, na ogół biorąc, mają duże zdolności dramatyczne. Ogromnie lubią one wszelkiego rodzaju przedstawienia i występy. Toteż pozwalamy się im w tym kierunku wyżywać. Co niedziela odbywa się u nas tzw. „rachunek sumienia", na którym rozpatrywane są wszystkie blaski i cienie tygodnia. Przeważnie wtedy dzieci urządzają przedstawienia, obmyślane i reżyserowane zasadniczo przez siebie. Wychowawcy udzielają im tylko pewnych rad — ale tylko wtedy, jeżeli go o to poproszą. Od czasu do czasu urządzamy także przedstawienia publiczne. Udział w takim przedstawieniu jest dla dzieci wielką przyjemnością. Dekoracje i kostiumy robią dzieci same i wykazują przy tym bardzo dużo pomysłowości.

Zakład posiada bibliotekę składającą się ze stukilkudziesięciu tomów; książki kupujemy przeważnie za pieniądze zarobione na przedstawieniach.

W ostatnim czasie udało nam się pozyskać dla zakładu instruktora chóru. Cieszę się z tego bardzo, gdyż nasze dzieci lubią śpiewać i śpiewają dobrze.

Wychowankowie nasi byli w tym szczęśliwym położeniu, że od chwili przybycia do zakładu, tzn. od lutego 1944 r. aż do końca wojny — nie przerwali nauki. Przed przybyciem do zakładu każdy z nich prawie dłużej lub krócej nie uczył się. Ponieważ jednak przy zakładzie od samego początku została zorganizowana szkoła, za czasów okupacji obsługująca tylko wychowanków, z chwilą zaś odzyskania niepodległości przekształcona w publiczną szkołę powszechną, staraliśmy się nadrobić stracony czas i niektórzy nasi wychowankowie najzdolniejsi, najpracowitsi i najinteligentniejsi przerobili w ciągu roku trzy klasy.

Z chwilą przybycia do Czerniejewa prawie wszystkie nasze dzieci, z wyjątkiem najmłodszych i najstarszych, zostały zapisane do podstawowej szkoły powszechnej w Czerniejewie. Za-

równo w roku ubiegłym jak i w bieżącym istnieją tam klasy przyspieszone, tzw. komplety średnie, w których przerabia się w ciągu roku dwie klasy. W ten sposób przyśpiesza się ukończenie nauki uczniom ze szkoły powszechnej.

Jeżeli chodzi o najstarszych wychowanków naszego domu — a jest ich 10 — to w chwili przybycia do Czerniejewa mieli ukończonych 6 klas szkoły powszechnej. Ponieważ przyjechaliśmy w lipcu, a zatem już po wiosennych egzaminach wstępnych, nie mogłam ich umieścić w gimnazjum w Gnieźnie, a wszyscy oni, zarówno ze względu na zdolności jak i chęć do nauki, zasługiwali na dalsze kształcenie.

Wobec tego przy zakładzie został stworzony komplet I kl. gimn. za zgodą Kuratorium Poznańskiego i Inspektoratu Szkolnego w Gnieźnie. Na kurs ten uczęszczała młodzież nie tylko z zakładu, ale i z Czerniejewa.

Niestety, gdy przyszło do zdawania egzaminów, szkoła powszechna w Czerniejewie z 7-klasowej została przekształcona w 8-klasową; nasi wychowankowie nie mogli wobec tego znów zostać przyjęci do gimnazjum, gdyż według przepisów powinni oni byli uczęszczać do VIII kl. szkoły podstawowej.

Ponieważ w jesieni ub. roku w Gnieźnie zostało zorganizowane gimnazjum dla dorosłych o systemie semestralnym, nasi wychowankowie — znów w porozumieniu z Inspektoratem Szkolnym — przerobili do lutego br. kurs II semestru według programu opracowanego przez Ministerstwo Oświaty dla gimnazjów dla dorosłych. I znów, gdy przyszło do egzaminu, okazało się — wbrew poprzednim zapewnieniom Inspektoratu — że nasi chłopcy zdawać go nie mogą, gdyż gimnazjum gnieźnieńskie nie jest zalegalizowane.

Lepiej powiodło nam się z dziewczętami: pięć spośród nich udało nam się umieścić w Gnieźnie, cztery chodzą do II kl. Miejskiego Gimnazjum Ogólnokształcącego, po skończeniu którego dwie zamierzają wstąpić do szkoły gospodarczej, jedna wybiera się na medycynę, piąta chodzi do II kl. Gimnazjum Kupieckiego.

Jeżeli chodzi o przygotowanie dzieci do zawodu, zakład poczynił w tym kierunku pewne kroki zarówno na terenie Czerniejewa jak i w Poznaniu. Ponieważ jest rzeczą bardzo wątpliwą, aby wszyscy nasi wychowankowie mogli być przyjęci do szkół zawodowych, trzeba będzie część dzieci, które w tym roku skończą szkołę powszechną, oddać na naukę do majstrów w Czerniejewie. Mamy na miejscu warsztaty mechaniczne,

stolarskie, krawieckie, rzeźnickie — będziemy zatem mogli kilku chłopców na miejscu zatrzymać. Do szkół średnich ogólnokształcących prawdopodobnie skierujemy kilkoro dzieci. Z chłopców uczęszczających do VII i VIII kl. szkoły powsz. chcemy skierować czterech wychowanków do szkoły mechanicznej w Pile. Porozumiewaliśmy się z dyrekcją tamtejszego zakładu i uzyskaliśmy zapewnienie, że nasi wychowankowie mogą liczyć na przyjęcie. Do szkoły w Pile kierujemy również dwóch absolwentów szkoły powsz., którzy w ub. roku składali podania o przyjęcie do Warsztatów Kolejowych w Gnieźnie i nie zostali przyjęci.

Zakład nawiązał również kontakt z Kliniką Dziecięcą w Poznaniu i mamy zapewnienie, że nasze wychowanki po ukończeniu VII kl. szk. powsz. będą przyjęte na praktykę pielęgniarską. Czterech chłopców zamierzających zostać leśnikami złożyło podanie o przyjęcie na praktykę w Nadleśnictwie Czerniejewskim, gdyż jest to koniecznym warunkiem przyjęcia do gimnazjum leśniczego.

Dwie najstarsze — dziewczynki 18-letnie — pracują obecnie w szwalni zakładowej. Na przyszły rok chcę je oddać na roczny kurs krawiecki do Gniezna.

W tym miejscu chciałabym poruszyć sprawę, która mogłaby nam znacznie ułatwić kształcenie zawodowe naszych wychowanków; jest to sprawa stworzenia w którymkolwiek z większych miast posiadających zarówno szkoły ogólnokształcące jak i zawodowe, internatu, w którym zakład mógłby umieszczać dzieci kończące szkołę powszechną. Internat taki byłby niejako filią macierzystego zakładu, związaną z nim i pod względem administracyjnym, i pod wychowawczym. W ten sposób dziecko nie zrywałoby kontaktu z domem, w którym spędziło już szereg lat, kierownictwo zaś zakładu nie byłoby zmuszone co roku wyszukiwać burs i internatów dla swoich pupilów.

Ponieważ wszyscy wychowankowie zakładu, z wyjątkiem najmłodszych, chodzą do szkoły powszechnej w mieście a na komplet gimnazjalny przy zakładzie uczęszczają chłopcy i dziewczęta z miasta, kontakt indywidualny naszych dzieci i dzieci z miasta jest stale utrzymywany. Wychowankowie domu dziecka biorą udział we wszystkich organizowanych przez szkołę przedstawieniach i obchodach; prawie wszystkie dziewczynki należą do harcerstwa i na tym terenie współpracują ze swoimi koleżankami z Czerniejewa. W czasie ferii Bożego

Narodzenia były u nas harcerki z 14 drużyny żeńskiej w Poznaniu na obozie zimowym. Nasze dziewczynki ogromnie się z nimi zaprzyjaźniły i teraz korespondują z nimi.

Niestety przyznać muszę, że pomimo wszystko istnieje coś, co dzieli nas od naszego otoczenia. Wyczuwa się pewną nieufność, a raczej czujność ze strony społeczeństwa miejscowego w stosunku do domu. Myślę, że dwa są tego powody: pierwszy to to, że ludzie na ogół nie lubią sąsiedztwa zakładów; drugi — że jesteśmy przybyszami ze wschodu, a różnice dzielnicowe nie tak łatwo dadzą się zatrzeć. Pewne rzeczy w nas rażą mieszkańców Czerniejewa i vice versa: nam w nich niejedno zdaje się dziwne. Sądzę jednak, że z czasem rzeczy te się ułożą i znikną.

Przechodzę obecnie do najważniejszej dla mnie części sprawozdania — części dotyczącej zagadnień wychowawczych. Mam odpowiedzieć na pytanie, jakie problemy wychowawcze nastręczają najwięcej trudności w rozwiązaniu ich na terenie zakładu.

Przez cały czas swej pracy w Domu Dziecka starałam się jak najbezstronniej obserwować i dzieci, i wychowawców, a raczej nie tylko wychowawców, ale wszystkich pracowników zakładu, którzy mają styczność z dziećmi. Przyszłam do przekonania, że za wszystkie niepowodzenia i trudności wychowawcze my sami przede wszystkim ponosimy odpowiedzialność. Nie jest to nic nowego, tylko niestety nie wszyscy zdają sobie z tego dobrze sprawę.

Nie z wychowankami naszymi źle się dzieje, ale z wychowawcami. Muszą to być ludzie pełnowartościowi, jeżeli pełnowartościowych ludzi mają wychowywać.

Praca wychowawcy jest bardzo ciężka; jeżeli jest spełniana bez zamiłowania — stanie się dla niego męczarnią a dzieciom na zdrowie nie pójdzie.

Mówię o tym na podstawie własnego doświadczenia. W naszym Domu miałam możność zaobserwowania, jak szalenie zmieniła się grupa chłopców, kiedy dostała nieodpowiedniego wychowawcę i jak ten wychowawca zdarł się nerwowo prowadząc stałą wojnę ze swoimi pupilami.

Odbiegam nieco od tematu, gdyż dotknęłam sprawy, która jest dla mnie bardzo zasadniczą i bardzo palącą. Jeżeli ta sprawa zostanie rozwiązana, to znaczy jeżeli zakład będzie miał dostateczną ilość dobrych wychowawców, to mam wrażenie, że nie będzie takich trudności, których by się na terenie Domu Dziecka nie dało usunąć.

Najistotniejsze potrzeby zakładu

Najbardziej palącą kwestią jest sprawa powiększenia personelu wychowawczego. Na 154 dzieci mamy tylko cztery wychowawczynie; nie mają one ani wolnych niedziel, ani wolnych dni w tygodniu. Od Bożego Narodzenia szkoła w Czerniejewie jest nieczynna, dzieci są stale w domu, marzną i nudzą się, gdyż żadnych świetlicowych zajęć z powodu chłodu prowadzić nie można. Praca w tych warunkach jest naprawdę zbyt wyczerpująca i musi się odbić na dzieciach i na nerwach wychowawców.

Zofia Toniszewska

ŚWIETLICA WYCHOWUJE

Było to zebranie koleżeńskie, takie, jakich może odbywa się wiele a jednak bardzo różniło się od innych. Po blisko dziesięciu latach przerwy zebrali się razem byli uczestnicy jednej ze świetlic w Łodzi.

Obcy, zaproszony gość (tzn. ja) uważnie przyglądał się wszystkiemu. Kierowniczkę świetlicy otaczała zwarta grupa. Coraz to przybywał ktoś nowy. Rozlegały się powitalne okrzyki:

— Janek i Zosia! Co, wyście się pobrali?

— O, my mamy już takiego syna!

— A tobie, Adam, jak się powodzi? Słyszałam, że Władzia chorowała.

I kilkakrotnie bardziej uroczyste:

— Pani Marysieńko — to mój mąż.

— Mój narzeczony.

Co za matrymonialna atmosfera! — myślałam. I postarałam się zrobić małą statystykę. Na sali znajdowało się trzydzieści osób (zebranie było pierwsze, organizacyjne i miało dopiero zebrać adresy innych członków). W tej liczbie było 11 małżeństw, przy czym 8 małżeństw całkowicie obustronnie „świetlicowych". Tylko trzy osoby były z zewnątrz „dokooptowane".

Zjawisko było zastanawiające. Procent tych małżeństw świetlicowych był bardzo wysoki. Musiało coś swoistego być w tej świetlicy, skoro umiała doprowadzić do takiego poziomu zżycia się uczestników.

Niezależnie od ilości małżeństw uderzało w oczy przyjacielskie zżycie się grupy. Okres blisko dziesięciu lat nie był okresem zerwania łączności. Przeciwnie, wydaje się, że różnorodne i ciężkie losy wojenne jeszcze pogłębiły przyjaźń.

Czego nie przeżyli, jak sobie nie pomagali! Jeden z nich opowiadał mi, jak go powracającego z obozu kolega ze świetlicy ubrał od stóp do głów, dzieląc się swą bardzo skromną garderobą. Ukrywali się wzajemnie, gdy poszukiwało ich gestapo, żywili, gdy kto nie miał co jeść.

Świetliczanie zasiedli zwartym kołem. Trzeba było razem, wspólnie przeprowadzić obrachunek. Ilu nie wróci już nigdy? Jakie były wojenne dzieje świetliczan? Co robią i co *powinni* robić?

Przegląd losów wojennych wykazał świetną postawę moralną wszystkich członków. Na tym słońcu była tylko jedna plama: mówią, że Roman wydał kolegów. Sprawa była niejasna i zgadzano się, że wymaga zbadania.

Lecz tamto, to czas przeszły, skończony — teraz jest nowe, ciekawe i gorące życie. Wszyscy świetliczanie tkwią w wirze pracy, pracy zawodowej i społecznej. Tę pracę społeczną traktują jako swój obowiązek. „Myśmy mieli *to szczęście*, żeśmy mieli świetlicę — powiedział ktoś — teraz innym trzeba to oddać".

Stosunek tych młodych ludzi do życia jest świadomy, orientacja w sprawach społecznych i politycznych — doskonała. Kogoś obcego, gdy słucha ich dyskusji, uderza harmonia cechująca uczestników — bujność ich życia osobistego i społecznego.

Umieją się też bawić. Wprawdzie wzdychają, że „teraz nie ma tego życia, co dawniej w świetlicy", ale komuś, kto owej legendarnej świetlicy nie widział, wydaje się, że trudno o chór bardziej zgrany (po 10-latach!) i bardziej ochocze tańce.

Nie wszyscy tańczą. Rozmawiam z jedną z uczestniczek i słyszę, jak obok jeden ze świeliczan mówi do Marysieńki:

— Panno Marysieńko — a może u Pani przechowały się fotografie z wycieczek? I taka jedna: dziewczęta na kładce nad strumieniem. Chciałbym ją mieć. Spokoju mi ta fotografia nie daje.

*

Zwolna odpływa obraz zebrania młodych ludzi. Pozostaje pytanie, co wpłynęło na wytworzenie zwartości tej grupy. Jacy ludzie i jakie środki zaważyły na jej ukształtowaniu i ukształtowaniu jej członków. I grupa, i składający się na nią ludzie noszą na sobie piętno świadomej pracy wychowawczej.

Pytanie mnie absorbuje i szukam na nie odpowiedzi. Może materiały świetlicowe, kronika, gazetka, notatnik Marysieńki i jej opowiadania dadzą odpowiedź.

I dają. Z tych materiałów wyłania się świetlica taka, jaką była w latach 1935—38. I na jej tle — postać jej kierowniczki.

Filigranowe jej imię jest w pewnym kontraście do postaci. Postać Marysieńki jest niewielka, lecz masywna, o kształtach szerokich, macierzyńskich.

Jej sposób bycia jest bardzo swoisty. W jakiejkolwiek grupie młodzieży się znajdzie — szczególnie młodzieży robotniczej — po kilku minutach nieuchronnie wywołuje wrażenie, że się ją od dawna zna, że się z nią długo i swobodnie obcowało. W razie potrzeby z jej ust gładko się toczą wyrażenia dobrze znane młodzieży z przedmieść. Nigdy nie „podchodzi" do młodzieży, nie zniża się, nie idzie z kagańcem oświaty do ludu. Jest po prostu jedną z uczestniczek, choć przewodniczką. W jej obecności jest swobodnie i wesoło. Ogarnia wszystkich atmosfera aktywności, poprawia się samopoczucie. Jak umie opowiadać, jak prowadzić gry! I nadewszystko — jaka j e s t, że właśnie przy niej człowiek czuje się tak swobodnie i bezpośrednio!

Czy można się dziwić, że prowadzona przez nią świetlica nie może pomieścić chętnych? Że dzieci i młodzież przychodzą z odległych ulic nie zważając na pogodę? W świetlicy Marysieńki jest ciepło w podwójnym znaczeniu tego słowa.

Jak każdy utalentowany wychowawca, Marysieńka jak kometa ciągnie za sobą ogon dawnych wychowanków. Przychodzą jej chłopcy z domu dziecka, w którym parę lat przedtem była wychowawczynią. To jej pomocnicy. Lecz potem nowa gromada zalewa świetlicę.

Świetlica — to miejsce gdzie się lekcje odrabia, gdzie się bawi i śpiewa, gdzie się czyta piękne książki, gdzie się żyje z innymi — i w tej świetlicy robi się to samo. Szybko staje się tak, że młodzież kocha swoją świetlicę, że gotowa jest dla niej do poświęceń. Czasem aż sama Marysieńka pyta ze zdziwieniem w swym notatniku:

„Pytam, dlaczego oni tak radośnie pracują? Dlaczego wczoraj Leon po 12 godz. pracy w warsztacie zdjął wszystkie „oberlufty", a to praca bardzo ciężka. Dlaczego Janiakówna— słaba — za murarzami nosiła kubeł, by doń wrzucali gruz i cegły, dlaczego Janka i Polcia dziś od rana szorowały i myły wszystkie okna? Przez zamknięte drzwi słyszę ich radosne głosy. Praca jest dla nich radością".

Świetlica rozsadza mury, rozrasta się we wszystkich kierunkach. Młodzież przyprowadza ze sobą młodsze rodzeństwo — małe smyki po 3 i 5 i 7 lat — i oto nie wiadomo jak

i kiedy powstaje „mała świetliczka", w której jest ponad 50 malców a wśród nich grupa cyganiątek.

I w drugą stronę wydłuża się, rozszerza wiek uczestników świetlicy. Przychodzą tu matki. Święto matki staje się wielkim świętem świetlicy. A oto pewnego dnia powstaje projekt: matki pojadą na wycieczkę do Warszawy. I wycieczka się odbyła — czterdzieści matek pojechało.

W świetlicy funkcjonuje samorząd, chór, liczne sekcje i kursy. Dziewczęta przechodzą kurs „Będę matką" na którym uczą się pielęgnacji niemowlęcia, szycia dziecięcych ubrań itp. Koło samokształceniowe przygotowuje referaty na temat zagadnień społecznych („Związki zawodowe w Danii i Polsce", „Ochrona pracy młodocianych" itp.), koło literackie studiuje pisma Żeromskiego, a społeczne organizuje w szpitalu artystyczne poranki dla chorych. Inne poranki artystyczne mają cele bardziej materialne: chodzi o zdobycie pieniędzy na wyjazd na kolonie letnie, w góry.

Wśród tego wszystkiego krąży uśmiechnięta panna Marysieńka, opiewana w licznych odach.

> ... osoba kochana, przezacna, przemiła!
> Wzrostu niedużego, jasnego wejrzenia,
> u której najwyższym wyrazem skarcenia
> jest: „kucaj, tumanie!" — wytarga za uszy,
> później ucałuje i tak cię tym wzruszy,
> że chociażbyś nie chciał — uśmiechnąć się musisz ...".

Życie w świetlicy płynie z takim rozpędem, że zdawać by się mogło, że ten wir imprez, kół, sekcji toczy się sam, bez wysiłku. To złudzenie. Poza miłym uśmiechem jest jeszcze niestrudzona, czujna i troskliwa praca. Pomocą w tym jest kronika świetlicowa, która jest żywą wymianą wrażeń i myśli, a czasem środkiem przekazania pedagogicznego oburzenia Marysieńki.

„Przez dwa dni leżałam.

Wieczorem, kiedy poszłyście do domu, wstałam zobaczyć w jakim stanie zostawiacie lokal. Oto garść spostrzeżeń:

Czytelnia — brudna. Stoły rozstawione po całej sali. Nie było zamiatane.

Kuchnia — brudna! Pełno śmieci pod stołami i przy kuchni. Wiadro pełne. W szufladach nieład.

Tylko szatnia uprzątnięta.

Wzięłam się w nocy do sprzątania, p. Stefcia przeszkodziła mi i miała słuszność.

Dlaczego ja mam po was sprzątać?

Tylko, tylko, że tak trudno było uspokoić się i zasnąć, gdy miałam przed oczyma to wszystko.

Nie mogłam się pogodzić z myślą, że to wy jesteście tak nieporządne.

Tych parę słów napisałam dziewczynkom, które były w piątek wieczorem w świetlicy".

Jaka była reakcja dziewcząt? Poniżej tej reprymendy znajdujemy dopisek:

„Dziewczęta, które były w piątek w świetlicy i do których należy ta bura": — tu następują własnoręczne podpisy.

A oto jakie odbicie w kronice znalazły pierwsze dni w świetlicy.

„Zacznę od moich kilku wrażeń, spostrzeżeń. Dwa dni zapisów. Zetknęłam się z wami przez krótki zaledwie czas. Nie znam was jeszcze, ale pewne twarze, pewne powiedzenia wasze zapamiętałam. Zapamiętałam również te z was, które pierwsze wzięły się do pracy, które wykazywały wiele inicjatywy.

Pierwszego dnia przeważnie przyszły dziewczęta ze szkoły 27 i 17. Wniosły wiele radości, śmiechu, wiele chęci do pracy. Wszystkie ręczniki i ścierki obrębione.

Zapamiętałam pracę Różyczki Tomaszewskiej. Ścierka obrębiona nie tylko starannie, ale i ładnie, przede wszystkim czysto.

Anielka w pracy systematyczna, uczciwa".

Kronika ma momenty poważne, „zasadnicze", ma też wesołe. Marysieńka i tu wprowadza swój nieporównany humor.

Oto wiersz ku jej czci i replika.

„Jasna twarzyczka,
postać maleńka —
oto kochana panna
Marysieńka.
Oto postać naszej
duchowej mateczki,
co wiedzie nas,
gdzie piękne ideały;
co pragnie, by wszystkie
duchowe córeczki

wszystko, co dobre
i szczytne poznały.
Biega tu i tam
niby zwinka skoczka
i posyła ku nam
roześmiane figlarne oczka.

„Ach Franiu, Franiu, jak ty na mnie patrzysz?

Już na wszystko się godzę, nawet na te „oczka", choć mówią zawsze, że mam „cebule" nie oczy — i godzę się oczywiście (bo muszę) na tę „maleńką postać". Godzę się, a nawet więcej niż godzę—pragnę z całej duszy, abyście poznały co szczytne, co piękne, co dobre.

Tylko, Franiu, czy ja mogę spokojnie usiedzieć, gdy mnie nazywasz „zwinną skoczką"? Czy widziałaś zwinną ciocię hipopotam?!

Hipopotam — skoczka — Uff!

Nie, stanowczo przeholowałaś — odwołuj czym prędzej.

Wprawdzie wiem, jak trudno dobrać rym do Marysieńka. Już nawet zaczęłam:

Toczy się jak kula —
nazywa się Urszula.

ale przecież Urszula, to nie Marysieńka; wiem, że trudno, ale przecież Ty piszesz wiersze, nie ja, więc szukaj rymu do „Marysieńka" i odwołuj „zwinną skoczkę!".

Obok kroniki jest jeszcze drugi zeszyt — zeszyty, grube bruliony w ciągu lat! Dzień w dzień zapisuje w nich Marysieńka liczne karty, utrwalając wrażenia i obserwacje, wysnuwając wnioski i wytyczne swej pracy wychowawczej, analizując błędy. Tu roztrząsa rozmaite sytuacje i pyta „czy dobrze zrobiłam", zastanawia się, jak postąpić w trudnym przypadku. Często pojawiają się tu słowa „wciąż widzę, jak mało umiem, jak bardzo muszę się jeszcze uczyć i pracować nad sobą". Tu— w tym notatniku, przeznaczonym tylko dla niej, utrwala też „rozmowy w cztery oczy", kryjące czasem tragedie jej młodych przyjaciół. Jakże inna, jak subtelna i wnikliwa ukazuje nam się w tym notatniku!

Zosia usiłowała popełnić samobójstwo, wydobyto ją nieprzytomną z nurtów rzeki. Odratowano ją z trudem.

Co było przyczyną? Stosunki domowe, depresja wywołana okresem dojrzewania. Ojciec, kochający dziewczynę, przychodzi do Marysieńki: „Tylko pani może jej pomóc". Zosia przychodzi na rozmowę.

„Trudno to nazwać rozmową. Właściwie to ja mówiłam, a ona odpowiada oczami. Niewiele mówiłam.

Nie pytałam o nic. Siedziała przy mnie i trzymała mnie za rękę. Czułam, że boi się pytań. Nie pytałam. Po co? Siedziałyśmy tak w milczeniu długo.

Pierwsze moje słowa: Zosiu, pojedziesz ze mną na kolonie w góry. Czułam, jak mi rękę ścisnęła. Potem nagle objęła mnie rękami i uścisnęła mocno. Powiedziałam, że chcę, aby mi pomagała, że liczę na jej współpracę; opowiedziałam, jak dobrzy są ludzie na Orawie, jaka Orawa jest piękna — jak może wyleczyć ciało i duszę. Ani jednego słowa nie przemówiła. Rozumiałyśmy się".

Warto przytoczyć fragment listu Zosi napisanego po tej rozmowie. „...Czułam, że, zamiast coś powiedzieć, rozpłakałabym się. Tego nie chciałam uczynić, bo dość w życiu widziała Pani łez, wprawdzie nie byłyby z bólu, ale zawsze łzy. No, a najważniejsze to, że nie płakałabym dlatego, że nie mogłabym Pani podziękować, tylko dlatego, że bardzo, bardzo Panią kocham".

Jakże daleko odbiegliśmy od gier i zabaw świetlicowych, i Marysieńki, „zwinnej skoczki"! Świetlica miała różne swe wymiary i głębie.

*

Czy rozumiemy teraz, dlaczego grupa młodych ludzi jest tak zżyta i różnorakimi więzy połączona? Co dała tym ludziom świetlica?

Dała im radość życia. Wyprowadziła z ciasnych i ciemnych mieszkań, zbliżyła do pięknych dzieł ludzkich i pięknej przyrody. Sprawiła, że dziewczęta mogły pisać „wśród cudnych smreków górskich chodziłyśmy jak oszołomione. Nie mogłyśmy wcale mówić. Skąd mogłyśmy wiedzieć, że Polska taka piękna, my, dziewczęta wielkiej, fabrycznej Łodzi, gdzie niebo wiecznie jest zasnute dymami, gdzie widzimy tylko las czerwonych — wysokich kominów". Sprawiła, że młodego człowieka po dziesięciu latach prześladuje wspomnienie dziewcząt w barwnych sukienkach, przechodzących wąską kładką nad spienionym, górskim potokiem.

Świetlica dała im poznać piękno życia zespołowego, piękno przyjaźni, nauczyła żyć wśród ludzi. Przygotowała do życia rodzinnego i pomogła znaleźć towarzyszki i towarzyszy życia, z którymi łączą wspólne przeżycia, wspomnienia i zainteresowania. Dziewczęta przygotowała do roli matki.

Dała wszystkim szerokie spojrzenie na świat, ukazała dalekie horyzonty i pomogła wśród nich własne znaleźć miejsce. Wpoiła głęboką potrzebę współdziałania z innymi i pracy dla ogólnego dobra.

Uczyniła życie bogatszym i piękniejszym. Pomogła rozwiązać trzy zasadnicze problemy, jakimi są: miłość, praca, życie w społeczeństwie ludzkim.

S.

Z OGRODU JORDANOWSKIEGO NA WOLI
lata 1937—1938

„Pieniędzy ogródkowych nie będziemy wrzucać do ognia"

Wchodzę do świetlicy. Na ławce siedzi 14-letni Mietek przypiekając buty o rozgrzany do czerwoności żelazny piecyk. Czuję swąd palącej się skóry.

— Mietku, niszczysz buty!

— E... tam, to i co, dostanę prędzej nowe.

Próbowałam wyprowadzić chłopca z błędu, że takie postępowanie nie wpłynie na to, żeby w ogóle nowe buty kiedykolwiek otrzymał. Mietek postawy nie zmienił.

— Pani tylko tak straszy. Dostanę, dostanę, mnie się przecież należą.

Pomyślałam sobie: nie dostaniesz i koniec.

Znając nastawienie rodzin podopiecznych, nie dyskutowałam dłużej na ten temat.

Minęło kilka tygodni — buty Mietka rozpadają się całkowicie, wyłażą palce.

Chłopiec kręci się koło mnie, schlebia, nadskakuje, pomaga w pracy, w czasie dożywiania siada naprzeciw wyciągając spoza stołu nogi, abym zauważyła, że konieczna jest naprawa butów.

Z nowych prawdopodobnie już zrezygnował.

Udaję, że nie widzę, jestem niewzruszona. Wreszcie po długiej, wewnętrznej walce Mietek wszczyna rozmowę:

— Proszę pani, mnie się podarły buty.

Nie odrywając się od pisania, rzucam jedno słowo: „same?".

Mietek po chwili:

— To co, ja będę tak chodził?

Odpowiadam: — Tak — tak będziesz chodził.

— Ja się wstydzę.

— A czy nie wstydzisz się dawnej swej zabawy przy żelaznym piecyku?

Rozmowa urywa się, mina chłopca rzednie, po chwili z rezygnacją w głosie odzywa się:

— Ja już nie będę, proszę moje buty oddać do reperacji.

— Nie oddam, pieniędzy ogródkowych nie będziemy wrzucać do ognia (fundusze na akcję pomocy dzieciom tak zwanych rodzin podopiecznych Ogród czerpał: ze Stołecznego Komitetu Pomocy Dzieciom i Młodzieży, z Centrali Ogr. Jordanowskich, ze składek członkowskich lokalnego Koła T-wa Ogr. Jord. Członkami kół lokalnych m. in. były okoliczne fabryki i sklepy.

Mietek mocno zafrasował się.

— To co ja teraz zrobię, przecież zostanę boso!

— Zrób jeden komplet bierek, dwie rakiety do ping-ponga, a będziesz miał zreperowane buty — odpowiedziałam.

Rad nierad przystąpił do wykonania zamówienia, rezygnując przez 2 dni z ciekawych rozgrywek sportowych. Pracę wykonał, przyniósł rachunek od szewca, pokrył go własnoręcznie zarobionymi pieniędzmi.

Efekt wspaniały. Mietek buty oszczędzał. Kiedy wychodził poza ogródek, aby zadość uczynić „swędzeniu w nogach"— to znaczy pograć w piłkę nożną — buty zostawiał w szatni (piszę: poza ogródek, ponieważ w ogródku kopanie piłki było niedozwolone).

„Mamy drzewo — możemy zrobić bierki".

Mietek zapracował na reperację butów w warsztacie. W życiu naszego ogrodu warsztat odegrał poważną rolę. Historia jego datuje się od lutego 1937 roku.

Dzieci lubiły kierowniczkę ogrodu. Zastanawiały się, w jaki sposób uczcić dzień jej imienin przypadający 4-go marca. Projekty dzieci sięgały raczej kieszeni rodziców. Wytłumaczyłam, że nam, wychowawcom, kupowane podarunki sprawiają dużą przykrość, naprowadziłam dzieci na myśl pracy dla ogrodu.

Zabrali głos członkowie sekcji ping-pongowej: „mamy w ogródku tylko dwie rakiety i to marne; łatwo je zrobić — wystarczy laubzega i dykta". Inni zaproponowali zrobienie kilku kompletów warcab — „szachownice z dykty, kamienie z kija, takiego, jak do szczotki od zamiatania". „Mamy drzewo — można zrobić bierki". Pomysły mnożyły się bez końca. Przemyśleliśmy również różnego rodzaju prace łatwe, aby i nasi najmłodsi znaleźli dla siebie robotę.

Zdobycie materiału nie nastręczało trudności, gorzej z narzędziami. Z pomocą przyszedł nasz woźny — samouk, doskonały majster do wszystkiego. Narzędzia wypożyczył, pracą pokierował. Do dnia imienin warsztat nie ujawniał się, pracowaliśmy poza godzinami.

Zrobiliśmy: 20 rakiet ping-pongowych, 3 komplety bierek, 6 kompletów warcab, pudełko do kartoteki, gzymsy do firanek, tablicę do ogłoszeń, 10 piłeczek z rafii, szarfy do gier drużynowych, kij do palanta, 50 woreczków z grochem do zabaw dla najmłodszych, kilka gier świetlicowych: „tabliczka mnożenia", „sto przysłów", „chińczyki", „domina obrazkowe".

Nadszedł dzień 4 marca. Wszystkie stoły założone pracami dzieci.

Dzieci inne niż zwykle, czyściutkie, starannie ubrane, radosne, nawet szczęśliwe. Kierowniczka była również szczęśliwa.

Dzieci zdecydowały, że praca warsztatowa musi się rozwinąć. I rozwinęła się, weszła do programu naszej pracy, naszego planu dnia.

Przyjmowaliśmy duże zamówienia od nowotworzących się Ogrodów Jordanowskich na Śląsku. Pieniądze zarobione przeznaczaliśmy na potrzeby Ogrodu. Ustaliliśmy hierarchię potrzeb: własne narzędzia, piłeczki ping-pongowe, guma do rakiet, dla członków sekcji ping-pongowej — materiał na drugi stół (wykonaliśmy go sami), książki, stoper, taśma, zabawki dla malców.

Do pracy chętnych było bardzo dużo, nawet przedszkolanki pomagały przy wykończaniu robót z drzewa.

Pięcioletni Wojtek powiada: „Lolek, daj mi do smerglowania bierki, ja nie popsuję, — zobacys".

Incydent z butami Mietka zapoczątkował zarobkowanie na własne konto.

Od tej chwili dzieci samorzutnie zgłaszały się do mnie: „ja chcę zarobić na szalik", inni: „na czapkę", „spodnie", „na prezent imieninowy dla mamy" itd., itd.

Na zebraniu ustaliliśmy, że pewien procent od wykonanej pracy idzie na cele ogólne, większa część na poszczególne konta dzieci.

Ponieważ dzieciom naszym nie były obce wódka i papierosy — początkowo nie wypłacałam gotówką. Z chwilą uzbierania potrzebnej sumy wędrowaliśmy na pl. Kercelego (tam było najtaniej), kupowaliśmy czapki, skarpety, szaliki, spodnie, chustki do nosa, szczotki do zębów, książki, zabawki.

„Zarobimy na kostiumy, żeby wyglądać jak sportowcy“.

Prace warsztatowe szły w całej pełni. Mijał rok od chwili utworzenia warsztatu.

Marzeniem moim, a później i dzieci, było posiadanie ogródkowych kostiumów sportowych.

Zbliża się znów dzień 4 marca, znów imieniny kierowniczki. Projekt rzucony przyjęto entuzjastycznie: „zarobimy na kostiumy, żeby wyglądać jak sportowcy“.

Upiekliśmy na raz dwie pieczenie. Kierowniczka otrzymała 12 pięknych kostiumów: zielone, lniane spodenki, białe, trykotowe koszulki z emblematami słońca, szydełkowe, zielone czapeczki.

Chłopcy zarobili pieniądze, dziewczynki szyły z gosposią spodenki, haftowały słoneczka, szydełkowały czapeczki.

Dlaczego tak bardzo marzyłam, a potem marzyliśmy wszyscy o kostiumach?

Dzieci nasze nie były to grzeczne, potulne baranki.

Pracując jako instruktorka grupy dzieci starszych, wyjeżdżałam często z nimi na sportowe rozgrywki międzyogródkowe. Wyjazd taki sprawiał mi wiele przykrości. Wygląd zawodników pozostawiał wiele do życzenia.

Brudni, ubrani różnokolorowo, obdarci, z rękoma w kieszeniach, często palce w ustach, przy byle jakiej okazji gwizd, wyzwiska, zachowanie przy grze niesportowe.

Wyrobienie postawy sportowej było niezmiernie trudne. Nasza głęboka praca w sekcjach nie dawała jeszcze rezultatów.

Znając swoistą ambicję „Woli“, wierzyłam, że zmiana wyglądu dzieci wpłynie dodatnio na ich postawę.

Nie omyliłam się. Ubrani ładnie, estetycznie — zawodnicy tworzyli zespół. Byli bardzo dumni, ponieważ w tym okresie żaden z pozostałych ogrodów kostiumów nie miał. Nie mówiono już o nas „idą dziady“.

Nie było mowy, żeby któryś z chłopców miał Wolę skompromitować. Po pierwsze koledzy zrobiliby mu uwagę „ręcznie“ — to znaczy „daliby mu w ucho“, następnie tłumaczyli: „nie masz wcale honoru“.

Zmiana w zachowaniu dzieci była tak widoczna, że T-wo Ogrodów Jordanowskich wstawiło do budżetu pewną ilość pieniędzy na kostiumy dla wszystkich ogrodów.

Janina Pietryka

PRACA DLA DOMU

Różnie przedstawia się w różnych domach stosunek wychowanków do pracy dla domu.

Na początek obrazki negatywne:

Dom chłopców o 70 wychowankach powyżej lat 14. Większość stanowią uczniowie liceum pedagogicznego.

Gospodyni kraje i smaruje chleb na śniadanie.

— Dlaczego nie robią tego chłopcy sami?

— Chłopcy?! — oni tego nie potrafią, ileż czasu by to trwało, zresztą robiliby to na pewno niesprawiedliwie, przyjaciołom swoim każdorazowy dyżurny dawałby najlepsze porcje...

— Chłopcy moi doskonale się uczą — mówi kierownik domu chłopców — ale w domu zupełnie nic nie robią, ciągle tylko oglądają się na nas i mają pretensje: że śniadanie spóźnione, że za mało napalono w piecach, że bieliznę mają zniszczoną. Mamy też wiele kłopotu z przypilnowaniem, aby się porządnie myli, porządnie sprzątali. Właściwie musimy po nich sprzątać.

Mimowoli przypominają się:

1-o przedwojenna książka Gombrowicza „Ferdydurke" będącą satyrą na niepoważne traktowanie wychowanków przez wychowawców, na traktowanie ich znacznie poniżej ich możliwości, na wzór małych dzieci;

2-o dane o życiu młodzieży poza zakładem. Iluż rówieśników tych chłopców, ileż dziewcząt i chłopców powyżej lat 15 pracuje na siebie, czasem także na młodsze rodzeństwo, czy schorowane matki? Ileż to dziewcząt 15-, 16-, 17-letnich jest jedynymi opiekunkami młodszego rodzeństwa, z którym razem żyje z ciężkiej pracy na 1, 2, 3 morgach ziemi w rozwalonej chałupie? Doprawdy — dokonuje ta młodzież wyczynów bardziej poważnych i odpowiedzialnych niż sprawiedliwy podział chleba między kolegów.

Teraz parę obrazków pozytywnych:

Dom chłopców jest istotnie ich domem. Brali czynny i poważny udział w jego remoncie, pomagali rzemieślnikom w pracy. Sprzątają, obsługują centralne ogrzewanie, reperują ubranie a nawet buty — zupełnie sami. Dom urządzony i ozdo-

biony jest przez nich — są jego prawdziwymi gospodarzami. Zaniedbanie jednego z nich w pracy odbija się na całości życia domu i pociąga za sobą reakcję nie wychowawcy — a kolegów.

Podobnie w domu dziewcząt i chłopców. Wychowankowie nie tylko sprzątają dom łącznie z szorowaniem, pastowaniem i myciem okien, nie tylko piorą, a w czasie wakacyj kolejno gotują — ale także prowadzą księgę magazynową, magazyn odzieżowy, apteczkę, dokonywują zabiegów opatrunkowych, zakupów, podejmują z kuratorium pieniądze a w starostwie przydziały, pracują poważnie w ogrodzie, zajmują się całkowicie gośćmi zakładu.

Kierowniczka projektowała zorganizowanie w czasie wakacyj praktyk u rzemieślników takich, jak zdun, malarz pokojowy, szewc, stolarz — ażeby wychowankowie domu we własnym zakresie umieli dokonywać koniecznych w każdym domu mniejszych reperacyj. Projekt ten nie doszedł do skutku — tym niemniej jest on jednak godny wypróbowania.

Młodzież nie może pozostawać w swoim domu jedynie w charakterze konsumenta. Młodzież jest współgospodarzem swego domu, współodpowiedzialnym za jego organizację i jego poziom.

a.

ZAROBIONE PIENIĄDZE

W trzech znanych mi domach dziecka istnieją trzy różne sposoby postępowania z zarobionymi przez wychowanków pieniędzmi.

Dom dla kilkudziesięciu chłopców, z których znaczna większość terminuje. Jedni nie zarabiają nic, inni trochę, niektórzy wiele — bo kilka tysięcy miesięcznie.

Wszyscy traktowani są jednakowo — żaden z chłopców nie wpłaca nic do kasy zakładu za swoje utrzymanie, każdy otrzymuje te same przydziały odzieżowe. I każdy zarobione przez siebie pieniądze zużywa według uznania, nie kontrolowany przez kierownictwo domu.

Duży dom dla około 300 dzieci i młodzieży. Dom bardzo dobrze zorganizowany, nieźle zaopatrzony materialnie. Poważną rolę w życiu domu odgrywa spółdzielnia wychowanków.

Oto jej ogólny zakres organizacyjny:

I. Spółdzielnia Uczniowska „Jedność“ prowadzi następujące pracownie:

a) fryzjerską,
b) szewską,
c) introligatorską,
d) stolarską,
e) fotograficzną.

II. Każda pracownia obowiązana jest prowadzić następującą księgowość:

a) księgę kasową,
b) księgę materiałową,
c) księgę pracy,
d) kwitariusz dochodów,
e) teczkę dowodów kasowych,
f) teczkę inwentarza.

III. Cennik za wykonaną pracę uwidoczniony jest w każdej pracowni i niższy jest o 25% od cen rynkowych.

IV. Wynagrodzenie pracowników:

a) pracownicy otrzymują z sumy wpłaconej za pracę 50%, reszta idzie na fundusz społeczny do kasy Spółdzielni „Jedność“;
b) należność za wykonanie zamówienia uiszcza się na ręce kierownika pracowni za pokwitowaniem, bezpośrednio po wykonaniu pracy;
c) zamówienia młodzieży, które opłaca dyrekcja zakładu, uzyskują poprzednio aprobatę wychowawców internatu i realizowane są w każdą sobotę;
d) rozliczenia Spółdzielni „Jedność“ z poszczególnymi kierownikami pracowni następują w ostatni dzień miesiąca.

V. Kierownicy poszczególnych pracowni wpłacają zainkasowane pieniądze kasjerowi Spółdzielni za pobraniem pokwitowania codziennie w lokalu Spółdzielni o godz. 18.

A więc: część dochodu — na użytek wychowanka, część — dla spółdzielni, na użytek wszystkich wychowanków.

Dom jest niewielki, świeżo założony. Panuje w nim miła atmosfera, prawdziwie bliskie stosunki między personelem a wychowankami oraz wzajemne między chłopcami. Jest to dom dla chłopców w różnym wieku.

Dom jest bardzo ubogi, boryka się z poważnymi trudnościami finansowymi. Wszyscy chłopcy w nim pracują: jedni w domu wykonują prace gospodarcze, administracyjne czy

opiekuńcze w stosunku do małych, drudzy poza domem zarabiają korepetycjami, reperacjami itd., czym kto może. W lecie wszyscy zbierają na sprzedaż jagody, u zamożnych sąsiadów pracują w ogrodzie, jeden zarabia na zabawach szkolnych grą na harmonii, drugi — wytwarzaniem pomocy szkolnych.

Wszystkie pieniądze oddają chłopcy do wspólnej kasy domu. Tłumaczą to sami bardzo prosto: „nasi koledzy szyją nam spodnie, sprzątają dom, palą w piecach — my w tym czasie zarobkujemy poza domem. Było by niesprawiedliwie, gdybyśmy zarobione przez nas pieniądze zatrzymywali na swój własny użytek".

*

Który z tych sposobów postępowania z zarobionymi przez wychowanków pieniędzmi uznać należy za najsłuszniejszy?

a.

ZE SPRAWOZDAŃ POWIZYTACYJNYCH

1. Cała młodzież uczęszcza do gimnazjum ogólnokształcącego. Część młodzieży uczy się źle — są już dojrzali do pracy zawodowej czy do nauki zawodu — nie interesuje ich nauka „czysta", nie mają w tym kierunku uzdolnień.

Jednak w domu panuje przekonanie, że nauka zawodu, to coś gorszego, niż nauka w szkole ogólnokształcącej. Młodzież opanowana jest przez snobizm „inteligenckości".

Snobizm ten podnieca kierowniczka.

Oto jej odezwanie do wychowanków: „Jeżeli będziecie się lenić, to was zabiorę ze szkoły i oddam do krawcowej albo do szewca".

2. Część wychowanek domu dziewcząt uczęszcza do gimnazjum krawieckiego, część — ta mniej zdolna w kierunku teoretycznym — do pracowni krawieckiej i do szkoły dokształcającej.

Druga grupa czuje się upośledzona w stosunku do pierwszej do tego stopnia, że pragnęłaby przenieść się gdzie indziej.

3. W dużym domu chłopców znaczną część wychowanków stanowią uczniowie gimnazjum, małą grupę — terminatorzy. Terminatorzy mają osobne sypialnie, gorzej wyposażone od pozostałych, i w dużej grupie kandydatów na „inteligentów" ta grupa przyszłych rzemieślników pędzi żywot niemal że wydzielony.

W innych domach inaczej.

1. W domu panuje wielka rozmaitość kierunków kształcenia. W warsztacie szewskim śpi — z powodu przepełnienia

domu — trzech przyjaciół: terminator szewski, uczeń szkoły elektrotechnicznej i uczeń gimnazjum ogólnokształcącego — najzdolniejszy wychowanek zakładu.

W sypialni starszych chłopców — obok ucznia szewskiego — uczeń szkoły zdobniczej, dalej, dwóch gimnazistów, uczeń drukarski i młody kandydat na ogrodnika.

Podobnie u dziewczynek.

Duża rozmaitość kierunków kształcenia wzbogaca każdego wychowanka o nowe doświadczenia, rozszerza jego wiedzę o świecie, rozszerza zakres jego znajomości i przyjaźni.

2. Nie brak w domu chłopców żadnego bodaj z głównych kierunków kształcenia. Życie zorganizowane jest w ten sposób, że każdy chłopiec pomaga innym w zakresie, w którym się specjalizuje. I tak uczniowie gimnazjum pomagają w lekcjach uczniom szkół dokształcających, uczniowie krawieccy pomagają w szyciu ubrań kolegom, uczniowie szewscy reperują im obuwie, przyszli mechanicy, elektrotechnicy, zduni i ogrodnicy — dają duży wkład pracy „fachowej" we wspólne życie domu.

Współżycie wszystkich chłopców bardzo dobre.

Zebrała *i.*

NASI CHŁOPCY

Przede mną stoi chłopak szesnastoletni. Ponury. Zamyślony. Prosi o przyjęcie do zakładu. Z Białegostoku przyjechał aż tutaj.

— Dlaczego — pytam — chcesz być u nas?

— Mam matkę. Uczyłem się. Ona też chciała, żebym się uczył. — Mówi nerwowo, urywanymi zdaniami. — Pracowała na mnie. Przez letnie wakacje karczowałem w lesie drzewo. Zarobiłem sobie. Zostawiłem jej coś. Starczyło mi do teraz. Pojechałem, by jej było lżej. Będzie odtąd pracowała tylko na siebie i brata — a ja na siebie.

Po dwóch tygodniach spotkałem go na klatce schodowej i zagadnąłem, jak się u nas czuje. Uśmiechnął się po raz pierwszy od kilkunastu dni i dziwną dał odpowiedź:

— Taki mam teraz spokój . . .

Potrzebował go widocznie, jak starzec zmęczony życiem.

*

Jacek i Maniek mają ośmioro drobnego rodzeństwa. Ojciec ich jest robotnikiem. Matkę mają bardzo dobrą. Daleko od Szczecina. Maniek uczy się stolarki. Jacek chodzi do czwartej gimnazjalnej.

Zbliżał się okres Bożego Narodzenia. Chłopcy mieli jechać do domu. Przechodząc przez warsztat, widziałem nieraz, jak Maniek wycinał z drzewa przeróżne zwierzęta. Udałem, że nie widzę.

Budzę się pewnego razu nocą, około pierwszej godziny i zauważam, że w warsztacie graficznym pali się światło. Podchodzę do okna i widzę, jak Jacek pospiesznie macza pędzel we farbie i maluje zabawki.

*

Waldek został przysłany do nas z sierocińca. Był tam wśród małych „szmerów". Przyjechał czysty, nawet z pewnym wyposażeniem. W pierwszych dniach robił wrażenie sympatyczne. Wystarczył jednak tydzień, by chłopak posmutniał. Chodził zaniedbany, czegoś niezadowolony, marudny wobec kolegów a chwilami nieznośny nawet. Biorę go pod światło i dowiaduję się z jego słów: „Bo ja nie wiem właściwie, co ze mną jest. Tutaj jest zupełnie inaczej. Tam, to siostry wszystko zrobiły, a tu trzeba samemu myśleć, a ja wszystko zapominam". Biedaka przeraziła odmienność życia, a nadto trzeba było zabrać się do samodzielnego życia. Wytłumaczyłem mu, że zupełnie go rozumiem, że jednak jest już dorastającym chłopcem, że odtąd sam musi dbać o mydło, szczoteczkę do zębów, ręcznik, czy przyszycie guzików. Bieliznę do prania trzeba oddawać samemu, należy zatroszczyć się o zeszyt czy ołówek, wiedzieć, ile zarobku ma się tygodniowo, jakie należy poczynić niezbędne wydatki, kiedy otwarty jest sklepik.

Waldek był kilka tygodni bez zmian. Zaniedbany, brudny, obdarty i skłócony z kolegami, którzy go nieraz za to „sztorcowali". Od dwóch tygodni jednak znać na nim dużą zmianę — jakby bardziej domyty, a dziś zupełnie czysty. Do pracy wdziewa robocze ubranie, a do miasta ubiera się jak przystało. Zaczyna dorastać zadaniom.

*

Jurek. Obijał się od powstania przez szereg miesięcy. Przy swoich czternastu latach przyżywał całą grozę niszczonej przez Teutonów Warszawy. Do nas dostał się ze szpitala po operacji ślepej kiszki. Z natury drobny i szczupły, przyszedł wychudzony, ale i jakoś zrównoważony. W naszych warunkach poczuł się zaraz u siebie. Znać, że trzeba mu było tej atmosfery. Był od pierwszej chwili szczery. Zdawało się, że czuje wewnętrzną potrzebę powiedzenia wszystkiego, co bodaj wiedział. Godzinami mógł opowiadać, jak żył, co myślał, jak czuł. Powoli zaczął „porastać w piórka". Stawał się żywy i dowcipny jak żaden z nich.

Chłopcy mają przeróżne „choroby", jednakowe dla wieku młodzieńczego. Pewnego razu, zapewne po jakimś widzianym filmie, wybuchła u nas epidemia zdobycia rękawic bokserskich. Koszt to poważny, jak na kieszenie niedużej grupy chłopców. Znaleźli nagle sposób! Po męczącej wycieczce zapowiedzieli mecz bokserski i różne „draki". Wszystko to zorganizowali na prędce.

Romek, o śniadej cerze, miał na piersiach napis „Afryka", Maryś reprezentował „Europę". Zamiast rękawic trzeba było owinąć ręce frotowym ręcznikiem. Sednem wszystkiego była jednak konferansjerka Jurka. Ten dowcip niekłamany, tę sympatyczną ciętość języka, bystrość orientacji i spryt, z jakim zebrał od widzów gotówkę potrzebną na rękawice, trzeba było podziwiać.

Takim pozostał do dziś. Jest naszym miłym kłopotem. Tak żywy i dowcipny, że wszystkich rozśmiesza. Jest tak niezakłamany, że przed nikim dowcipu nie ukrywa. Trzeba go lubić. Mówi, że inaczej nie może.

*

Po półrocznej próbie, chłopcy w tajnym głosowaniu orzekają, czy kandydat ma pozostać w naszej instytucji na stałe. Głosowanie wypada przeważnie na korzyść kandydata. Zwykle bowiem chłopcy, którzy się do nas nie mogą przystosować, odchodzą sami. Tym razem stało się inaczej. Po półrocznej próbie współkoledzy orzekli, że Romek nie powinien zostać między nimi. Decyzja ta jednak wymaga uzasadnienia w chwili jej ujawnienia. Chłopiec, przekazujący mi wynik głosowania, dodaje: „„My nie chcemy Romka mieć między sobą. Jest skończony łajza. Zawsze chodzi obdarty, niedomyty. Już trzecie ubranie zdarł. Buty złazi do reszty. Guzików też nie potrafi sobie przyszyć. Leni się . . . my na niego pracować nie chcemy".

Romek czuł, co się święci. Okazywał wyraźne zdenerwowanie w oczekiwaniu opinii kolegów. Wiadomość o wyłączeniu go z internatu przyjął z rozpaczą. W dłuższej rozmowie przyrzekł, że będzie inny. Wszystko wskazuje na to, że nie zawiedzie.

*

Pamiętam Mietka, jak przyszedł do nas w jakiejś okryjbiedce. Była słoneczna niedziela. Dom nasz opustoszał. Poza dyżurnym wszyscy frunęli na miasto — na mecz, nad jezioro, do lasu, do kina. Zaszedłem przypadkiem do jadalni i widzę, że w kącie na podłodze przy swoim tobołku siedzi Mietek. Płacze . . . i to tak rzewnie! Nie rozumiem tego. Dopiero co przyjechał. Pół godziny temu poleciłem wójtowi, by się nim zajął. Widziałem, jak go obstąpili wszyscy. Teraz płacze i to szlocha, że aż żal. Na-

przeciw niego usiadł Tadek — dyżurny i patrzy na niego bezradnie. Przykucnąłem koło tobołka. Kazałem odejść Tadkowi i pytam, i proszę, ażeby mi przecież zdradził tajemnicę tych wsiąkających w tobołek łez. Coś mi chce powiedzieć — i mówi, ale tak niezrozumiale — aż wreszcie słyszę poprzez szloch, że „tam... tak... dużo... było chłopców...". Nie rozumiałem. Pytam, gdzie i dowiaduję się, że to tam właśnie, skąd przyszedł, gdzie żył pośród gromady podobnie biednych istot, jak on. Będzie z niego dobry nabytek — pomyślałem. Chłopiec, który tęskni, będzie zawsze dobrym przyjacielem. Trzeba tylko, by się przyzwyczaił, a wtedy już poczuje się w domu. Chłopcy, co w przeciągu godziny już się zadomowią, z łatwością powędrują dalej. Jego dom tam, gdzie czapkę położy.

Dziś „Mordelek", jak go przezwali, chodzi zawsze uśmiechnięty, pogodny. Nie jest orłem, ale wszyscy go lubią. Ma duże wyczucie sprawiedliwości i tak, jak bezradny siedział nad tobołkiem, tak w życiu codziennym radzi sobie jednak doskonale.

*

Jednego dnia zaszła do nas trójka. Romek, szesnastoletni, zdemobilizowany z armii, z korpusu kobiecego. Wojtek, sierota, syn sędziego, uczeń 2 klasy gimn., i Władek, odziany w strzępy, o szybkim i kołującym po wszystkich przedmiotach wejrzeniu. Chłopiec, który nawet ustać spokojnie nie potrafił. Przedstawiam ich wójtowi internatu (jeden z wybranych przez samorząd chłopców). Radzi przyjąć wszystkich.

Wojtek, ten najbardziej obiecujący, po kilku dniach nas okradł i nawiał. Władek był zawodowym łazikiem. Nie „spiłowałby", gdyby go przydzielić do jakiegoś warsztatu. „Chodź sobie, gdzie chcesz" — powiedziałem mu. „Rozejrzyj się przez kilka dni po warsztatach i wybierz sam zawód". Chodził oczywiście, jak to mówią, gdzie go nie posiano. Zaglądał często do kuchni, chociaż na kucharzy nie uczymy. W hafciarni nitki nawijał przez pięć minut, bo te prace ręczne mu się „widziały". Pewnego przedpołudnia widziałem go biegnącego co sił za tramwajem. Wrócił o 9 wieczorem.

— Gdzie byłeś? — pytam.

— A tak . . . — informuje. Wolno mu było!

Za dwa dni przychodzi i prosi o swoje rzeczy, bo pojedzie gdzie indziej. Zostawił przyzwoite ubranie, a zabrał swoje szmaty z białą partyzantką, jak chłopcy domyślnie nazywają. Nie pomogły namowy; poszedł w świat.

Biedny chłopak, typowy włóczęga. Mycie się, szczoteczka do zębów, regularne posiłki były mu ciężarem. Bo i po co mu to? Przywykł jeść, kiedy jest głodny. Na nocleg wystarczy mu jama po okopach wojennych. Położy się spać, kiedy zechce. Regularny zarobek jest mu zbędny. Kiedy będzie potrzebował jeść, to użebrze. W najgorszym wypadku poniesie walizkę ze stacji i zarobi. Był to chłopak uczciwy. Inny byłby „nawiał" w otrzymanej odzieży. On prosił o swoje łachmany. Został jednak naszym przyjacielem. Mieszka w Gdyni z kilkudziesięciu innymi chłopcami bezdomnymi. Od czasu do czasu przysyła nam kolegów, którzy tęsknią za innym życiem. Spotykamy się nieraz. — Romek, ten zdemobilizowany, został. Uczy się stolarki. Kończy szkołę powszechną i zmienia się nie do poznania.

*

Chłopak piętnaście lat. Rosły nad wiek. Inteligentny i sprytny. Przybył z daleka. Rozmawiałem z nim blisko trzy godziny; tak szczerze ... od serca. Biedaka imało się już wszelkie zło i wady. Dopytywał się o porządek dnia, o jakość jedzenia, o kino, dancing. Pohandlowaliśmy papierosami. Wymieniłem mu marynarkę pod kolor spodni i zawiązałem mu pod brodą apaszowski krawat. Wyglądał dostatecznie dorośle na to, by mógł go nosić, ale zarazem był jeszcze takim dzieciakiem, że nie wiedział, jak go wiązać. Zaprzyjaźniliśmy się na dobre, a pod koniec rozmowy naszej, wśród pomieszania się dziecięctwa i dojrzałości przeżyć, słabości i jakiejś bezwiednej siły, dodał:

— Ja będę dalej szczery. Ja tutaj nie zostanę. Nie mogę zostać, bo już nie potrafię. Przyjechałem, bo nie widziałem dotąd Szczecina, ale ja czuję w sobie włóczęgę i coś mnie gna z miejsca na miejsce. Ja nie chcę się uczyć ... tylko oczy mydlę. Ja wiem, że mnie nałogi wyczerpują, ale ja już nie mogę. Chcę zostać szoferem, ale to już ... zaraz. Ale to też po to tylko, by się szybciej włóczyć. Te trzy lata zaraziły mnie włóczęgostwem.

*

Dla niektórych chłopców jest już na pomoc realną za późno. Im dłużej zwlekać będziemy — tym bardziej wzrastać będą ich rzesze.

Ks. K. Żarnowiecki

DLACZEGO DZIECKO MA BYĆ CZYSTE

Jeżeli spróbujemy się nad tym zastanowić, nie mając żadnych szczególnych wiadomości z zakresu higieny, to pierwszą odpowiedzią na to pytanie byłoby: bo brudne dziecko jest nieprzyjemne. Nieprzyjemne jest obcowanie z nim, przebywanie z nim w jednym pokoju, patrzenie na nie. Wyobraźmy sobie zespół brudnych dzieci, z którymi musielibyśmy przebywać czy to w szkole, czy w zakładzie, czy we własnym domu. Pierwsza rzecz, jaka uderza przy wejściu pośród taki zespół — to zaduch, spowodowany wyziewami brudnej skóry i brudnego ubrania. Wszyscy znają nieprzyjemny zapach brudnego dziecka: młodsze czuć raczej moczem, starsze potem, przy czym niemyte nogi dają jeszcze inną specyficzną domieszkę zapachową.

Z punktu widzenia higieny zaduch tego rodzaju jest bardzo niezdrowy: w powietrzu znajdujemy wtedy szkodliwe domieszki, które mogą wywołać bóle głowy, nudności, złe samopoczucie — zwłaszcza jeżeli przebywanie w tego rodzaju zespole jest częste lub codzienne. Z tego wniosek, że dziecko powinno być czyste, jeżeli przebywa w grupie. Ale może indywidualnie nie jest koniecznym utrzymywanie go w czystości. Spróbujmy rozważyć i to, odsuwając na razie na bok względy higieniczne.

Wyobraźmy sobie teraz brudne dziecko (ale nie własne — bo matki łatwo znoszą brud swoich dzieci). Czy nasze zachowanie jest jednakowe w stosunku do brudnego i czystego dziecka? Dziecko czyste i czysto ubrane jest pociągające, miłe, każdy się do niego uśmiecha, mówi coś przyjemnego dziecku, albo jego matce, każdy ma ochotę je popieścić. Tymczasem dziecko brudne wywołuje uczucie większej albo mniejszej odrazy, stosunek innych ludzi do niego jest gorszy niż do dziecka czystego, chociaż ono samo nie jest gorsze. Budzi się w nim wtedy uczucie niesprawiedliwości, pokrzywdzenia, którego źródła nie zna. I jego kontr-stosunek do ludzi będzie również gorszy — a przecież chcemy wychować te dzieci na ludzi, którzy mają dobry stosunek do człowieka. Przyjemny, czysty wygląd daje dobre samopoczucie dziecku, podczas gdy dziecko brudne przeżywa z tego powodu cały szereg przykrości w zetknięciu z otoczeniem. Rzadko miewa przykrości od innych dzieci, raczej od starszych. Nauczycielka w szkole mówi: „I znowu masz brudną szyję!"; higienistka mówi: „Czy nie mógłbyś już zmienić tej koszuli!". Dziecko jest wystraszone, boi się zetknięcia z nauczycielką, higienistką, lekarzem, bo każdy z nich może mu zrobić nieprzyjemną uwagę. A czy to wina dziecka, że przychodzi brudne do szkoły?

Do 10—12 roku życia za czystość dziecka odpowiada jego opieka domowa. Do tego czasu ono się jeszcze nie orientuje dostatecznie w swoim wyglądzie zewnętrznym, ani nie może mieć jeszcze trwałych przyzwyczajeń higienicznych. Te przyzwyczajenia trzeba w nim stale wyrabiać, a czystości jego trzeba pilnować tak długo, póki wielokrotna kontrola nie wykaże, że dziecko potrafi samo dbać o swój wygląd. Moment ten przychodzi niekiedy bardzo późno, w 15—17 roku życia, a w przypadkach, kiedy się tego nie przestrzega — nie przychodzi wcale. Wysiłek włożony w dziecko nie jest bezwartościowy: poza indywidualną korzyścią dla danego dziecka włożymy już mniej wysiłku w następne pokolenie, które będzie wychowywane przez te dzieci przyuczone do czystości, dla których będzie to już pewną potrzebą kulturalną.

A teraz z punktu widzenia higieny, jakie są korzyści nauczenia dziecka utrzymywania w czystości swego ciała i ubrania.

Wiemy, że brud utrudnia normalne działanie skóry. Skóra jest narządem wydalania. Za jej pośrednictwem ciało pozbywa się wielu szkodliwych czynników, zwłaszcza drogą wydzielania potu. Ponadto gruczoły łojowe skóry wytwarzają łój, który utrzymuje skórę w stanie pewnej sprężystości. Nagromadzenie się brudu na powierzchni skóry hamuje wydzielanie tych gruczołów, co wpływa pośrednio na cały ustrój. Poza tym brud sprzyja powstawaniu różnych zakażeń skóry, które mogą być niekiedy bardzo poważne.

Brud powoduje swędzenie skóry, które doprowadza do drapania, przy drapaniu zaś wprowadza się bakterie, szczególnie liczne na brudnej skórze i stąd powstają różne „wrzody“ i krosty".

Najczęstszą chorobą skóry, typową dla brudasów, jest świerzb. Świerzbowce są to drobne pajęczaki, które żłobią sobie kanały pod skórą i składają tam jaja. Najczęściej zajęte są te miejsca, gdzie skóra jest najdelikatniejsza i najcieńsza. Świerzb przenosi się niesłychanie łatwo z jednej osoby na inną, ale przy częstym myciu rąk można przebywać w środowisku bardzo zaświerzbionym i mimo to samemu można być wolnym od świerzbu. Nie mówiąc o tym, że świerzb to choroba bardzo nieprzyjemna, bo ciągłe swędzenie jest ogromnie męczące — to ponadto jeszcze częstość zakażeń skóry jest w tych przypadkach zwiększona z powodu ciągłego wcierania bakterii, zwłaszcza ropotwórczych, w podrapaną skórę. Często spotyka się wynędzniałe dzieci, pokryte różnymi krostami i strupami, a nie wie się o tym, że zasadniczym powodem ich złego wyglądu był tylko brud.

Myjąc skórę mydłem (sama woda nie wystarcza), zwłaszcza ręce, które najwięcej się stykają z wszelkiego rodzaju zarazkami,

usuwamy znaczną ich część. Wiele zakażeń pokarmowych szerzy się również drogą brudnych rąk. Mogą to być banalne zakażenia jelitowe, przejawiające się krótkotrwałymi zaburzeniami w postaci bólów brzucha lub biegunek, ale mogą być i tak poważne choroby, jak dur brzuszny i czerwonka. Obie te choroby są chorobami przewodu pokarmowego i zarazki ich wydzielają się z kałem (często nawet po wyzdrowieniu chorego). Przyzwyczajenie do umycia rąk po oddaniu kału zmniejsza możliwości przenoszenia zakażenia. W tym miejscu dodam, że nawyk używania papieru higienicznego jest u nas również niedostateczny, co powoduje utrzymywanie się zarazków na bieliźnie zarówno osobistej jak i pościelowej, nie mówiąc już o względach estetycznych.

Tą samą drogą brudnych rąk przenosi się również pasożyty jelitowe. Niektóre z nich uchodzą za niewinne, jak na przykład owsiki czy glisty, na które cierpi większość dzieci, ale mogą one niekiedy być powodem bardzo poważnych dolegliwości. Są i takie pasożyty, które zawsze powodują bardzo ciężką chorobę osoby, będącej ich żywicielem: są nimi tasiemce. Jaja tych wszystkich pasożytów, niewidzialne gołym okiem, są wydalane z kałem i zostają tą drogą przenoszone z człowieka na człowieka. Gdyby ten człowiek, który je wydala, umył ręce po oddaniu kału, albo ten, na którego je przeniesiono, umył ręce przed spożyciem pokarmu — jaja te uległyby zniszczeniu. Wiemy jednak, że około 80 % ludzi u nas ma jakieś pasożyty jelitowe. Widzimy z tego, jak niewielu zachowuje konieczną czystość.

Jeszcze jedna choroba ludzi brudnych — to dur plamisty. Dur plamisty przenosi się jedynie drogą wszy, wesz jest koniecznym pośrednikiem zakażenia. Jeżeli jednak mamy tak wysoki odsetek zachorowań na dur plamisty i dur brzuszny, czy możemy się uważać za naród miłujący czystość? W krajach o wysokiej kulturze przypadki tych chorób są bardzo rzadkie, co stanowi dla państwa ogromną oszczędność. Społecznie dużo taniej wypadnie, jeżeli się kupi dość mydła i proszku DDT, niż jeżeli się będzie wydawało ogromne sumy na szpitale dla chorych zakaźnych, zakłady sanitarne, dezynfekcje itp. Należy o tym również pamiętać w gospodarce indywidualnej i zakładowej.

Mówiąc o czystości dzieci należy również wspomnieć o konieczności kąpieli. Można być czystym, kąpiąc się dość rzadko, ale myjąc się porządnie codziennie. Kąpiel jednak ma jeszcze inne właściwości poza usuwaniem brudu, dla których należy ją stosować. Mianowicie kąpiel w wodzie o ciepłocie niższej lub wyższej od obojętnej (obojętną nazywamy ciepłotę wody mniej

więcej 34°— 36° C) wywiera duży wpływ na ustrój. Działa ona na układ krążenia drogą działania na naczynia krwionośne skóry, na narząd oddychania, przemianę materii i inne.

Jakie znaczenie higieniczne ma czystość ubrania? Ubranie nosi się w tym celu, ażeby zabezpieczyć się od dużych wahań ciepłoty otoczenia, ale wymagamy od higienicznego ubrania, ażeby było przewiewne i nie przeszkadzało wymianie powietrza między warstwą leżącą najbliżej ciała i otoczeniem.

Ubrania z materiałów tkanych niezbyt gęsto posiadają tę właściwość. Otwory w tkaninie mogą być bardzo drobne, tak że kurz i brud zalepiają jak gdyby te pory w ubraniu i wskutek tego ubranie staje się mniej przepuszczalne dla powietrza i mniej zdrowe. Dlatego też trzeba nosić pod ubraniem bieliznę, którą się często pierze, a wtedy ubranie wierzchnie mniej się brudzi. Bielizna powinna być jasna, bo lepiej znać na niej brud i wobec tego częściej się ją zmienia. Noszenie np. ciemnych reform wełnianych doprowadza często do tego, że dziecko nosi je bez prania przez całą zimę — bo nie widać brudu. Bardzo ważny jest również zwyczaj zmieniania na noc koszuli, bo wtedy cała bielizna i ubranie wietrzą się przez noc, a nie nasiąkają potem w dzień i w nocy bez przerwy. Poza tym wszy ubraniowe najczęściej trzymają się ubrania nie zmienianego. Na przemianę wszy z gnidy potrzeba osiem dni — jeżeli w ciągu tego czasu bielizna zostaje zdjęta i wyprana (wygotowana), gnidy już się nie rozwiną. Wesz może trafić do każdego: zarówno brudnego jak czystego człowieka, ale podczas kiedy u brudnego doprowadzi do wszawicy, człowiek czysty stwierdzi jej obecność bardzo prędko i szybko jej się pozbędzie.

Taka sama czystość, jaka dotyczy ubrania, powinna dotyczyć również pończoch i bucików. Przewiewność pończoch i obuwia jest dla nóg bardzo ważna, a brudne pończochy nie są przecież przewiewne, bo bywają zalepione brudem zwykle więcej niż inne części ubrania. Noszenie bucików bez pończoch jest równeż niewskazane, bo wtedy cały pot i brud osiada na wewnętrznej powierzchni bucika, czyniąc go nieprzepuszczalnym dla powietrza. Lepiej więc owinąć nogi choćby papierem, niż wkładać je do butów gołe. Jeżeli jest ciepło, dziecko może doskonale biegać boso, byleby wieczorem miało możność porządnego umycia nóg. Człowiek nie przyzwyczajony od dzieciństwa do częstego mycia nóg, może doprowadzić do tego, że nogi pocą się w sposób chorobliwy i wydzielają specyficzny zapach odstraszający dla otoczenia. Poza

tym nogi, które się pocą, łatwo się ocierają przy dłuższym chodzeniu.

Trzeba również pamiętać o tym, że trzepanie i czyszczenie ubraniu nie może odbywać się w sypialni ani kuchni — najlepszym do tego celu miejscem jest sień, przedpokój lub łazienka.

Przy wdrażaniu dzieci do czystości nie należy zapominać o tym, że ten, kto je wychowuje musi być dla dzieci przykładem pod tym względem. Schludny, czysty wygląd wychowawcy znaczy dużo więcej niż kazania o czystości, wygłaszane przez wychowawcę, który ma zwykle brudne paznokcie i nie wyczyszczone ubranie.

Dr Jadwiga Pągowska-Wawrzyńska

MYCIE

Pewnie — można być brudnym, ale uczciwym, szlachetnym, pracowitym.

Ale — jeżeli się jest brudnym, to:

zwiększa się szanse zachorowania,

jest się narażonym na opanowanie swego ciała przez przykre pasożyty,

sprawia się przykrość otoczeniu swoim wyglądem i zapachem.

Jeżeli się żyje gromadnie — czystość obowiązuje przede wszystkim ze względu na innych.

W domu dziecka zachowanie czystości osobistej jest sprawą dużej wagi.

Wychowankowie (i pracownicy) muszą myć co wieczór w ciepłej wodzie górną połowę ciała) i zęby. Dzieci przedszkolne i dziewczęta starsze winny się co wieczór w ciepłej wodzie podmywać. Latem muszą wszyscy co wieczór myć nogi, zimą — przynajmniej dwa razy w tygodniu.*

Zimna woda nie zmywa dobrze brudu.

Rano dzieci opłukują się zimną wodą do połowy i płuczą usta.

Przed każdym posiłkiem i po każdym zajęciu brudzącym ręce — wychowankowie (i pracownicy) myją ręce.

Co tydzień wszyscy kąpią się w wannie lub pod natryskiem, myją głowy.

—————

*) Górna połowa ciała nie kończy się na szyi, sięga naprawdę do pasa, z przodu, z boków i z tyłu.

To są wymagania minimalne.

W pewnym domu dziecka dziewczęta kąpały się co dzień wieczorem pod natryskiem. Bielizna pościelowa była w tym domu zmieniana co dwa miesiące — i szła do pralni prawie czysta. W sypialni powietrze było zawsze świeże.

Kto może — niech zorganizuje u siebie co dzień mycie całego ciała pod prysznicem.

Łatwo jest temu, kto ma dobre urządzenia. Dobre urządzenia — to natryski, mieszczące się koniecznie blisko sypialni, to umywalnia z kamienną podłogą i bieżącą ciepłą i zimną wodą, z muszlami dostosowanymi do wzrostu dzieci, z urządzeniami, przeznaczonymi na podmywanie, z korytkiem do mycia nóg.

Co zrobić jednak, kiedy się tych idealnych urządzeń nie ma?

Po pierwsze nie zrezygnować z zasad pisanych wyżej pismem pochyłym.

Po drugie wysilić swoją inicjatywę i energię na takie zorganizowanie mycia, aby zrealizowanie tych zasad stało się możliwe.

TRUDNOŚCI HIGIENICZNE W DOMACH DZIECKA

Bardzo wiele naszych domów dziecka mieści się w nieodpowiednich — z punktu widzenia przeznaczenia — budynkach. Jednym z najczęstszych niedomagań, to brak łazienek albo niedostateczne ich wyposażenie. Znamy zakłady, gdzie w ogóle nie ma łazienki ani umywalni. Mimo to trzeba sobie jakoś radzić. Jeżeli w dodatku dom jest nieskanalizowany i nie posiada wodociągu, wówczas trudności są jeszcze większe, wymagające od personelu wiele wysiłków i pracy, by wyrównać braki. Jakże z tego wybrniemy? Weźmy jako przykład zakład w najgorszych warunkach: nie skanalizowany, ale posiadający wodę w studni na podwórzu. Musimy się zorientować, czy zakład posiada odpowiednie pomieszczenie na pralnię; jeżeli znajduje się ono w budynku głównym, gdzie dzieci stale przebywają, wówczas możemy ją wykorzystać na urządzenie tam łazienki i umywalni; o ile znajduje się w budynku tzw. gospodarczym, nie możemy narażać dzieci na bieganie po podwórzu po kąpieli na jesieni, w zimie czy nawet na wiosnę!

Gdy w głównym budynku nie ma pralni — musimy szukać innego miejsca. Czy uda nam się zorganizować w jednym pomieszczeniu łazienkę i umywalnię — to zależy od warunków lokalowych. Czasem musimy urządzać prowizoryczną umywalnię w odgrodzonej części korytarza a nawet w sypialni — miejsce na kąpiel musimy jednak znaleźć inne.

Dobrze było by, żeby w tej łazience i umywalni podłoga była kamienna, kafelkowa (z drewnianą kratą) ew. kryta linoleum, gdyż podłoga drewniana zalewana bardzo szybko się zniszczy. W ostateczności możemy podłogę pomalować olejno.

Żeby mycie ranne i wieczorowe szło sprawnie, musi być przynajmniej jedna miednica na pięcioro dzieci.

Na ścianie, ponad miednicami można byłoby umieścić półkę na kubeczki do zębów (można na ten cel wykorzystać unrowskie puszki od mleka, równo przycięte, o zagiętych, nie kaleczących brzegach) ze szczoteczkami (szczoteczki o drewnianych rączkach są niedrogie i każdy zakład powinien się o nie postarać). Obok kubeczka każde dziecko powinno mieć własne pudełeczko na proszek do zębów (najlepiej nieśmiertelne unrowskie). Poniżej półeczki na specjalnej listwie można przybić płócienną saszetkę na grzebienie: każde dziecko pod swoim kubeczkiem ma przegródkę na swój grzebień.

Kwestia wieszania a więc i suszenia ręczników też wymaga troskliwego przemyślenia. Z punktu widzenia higieny nie powinniśmy dopuścić, żeby suszenie odbywało się w sypalniach, doprowadza to bowiem do szkodliwego zwiększenia wilgotności powietrza, ale i psuje powietrze dzięki parowaniu często — niestety — brudnych ręczników. Suszymy je więc w łazience. Najidealniejszym rozwiązaniem sprawy są albo specjalne drążki, przymocowane pod ścianą albo ażurowy, składający się z samych drążków, stojak, gdzie każdy ręcznik ma swoją poprzeczkę. Dla oszczędności miejsca drążki mogą być dosyć ciasno umieszczone (w przybliżeniu 10—12 cm od siebie) i ewentualnie stojaki mogą mieć dwa poziomy: dla starszych (wyższy) i młodszych (niższy poziom) dzieci. Stojaki takie są niedrogie i proste do zrobienia a przy tym bardzo praktyczne.

Aby zakończyć sprawę wyposażenia łazienki, należy przypomnieć o wiadrach na czystą i brudną wodę (o ile nie ma zlewu lub ścieku), koszyczku na sczesywane włosy i o lustrze.

W łazience nie może być zimno, jeżeli chcemy, by dzieci naprawdę się myły. Łazienka musi być dobrze wietrzona — aby ręczniki mogły wysychać.

Kąpiel organizujemy zależnie od możliwości domu — albo udaje nam się wykąpać wszystkich wychowanków jednego dnia, albo też rozkładamy kąpiel na kilka dni tygodnia jeżeli nie mamy właściwych urządzeń

Najwygodniej mieć natryski, pod którymi kąpie się cała grupa.

Jeżeli ich nie mamy — kąpiemy dzieci w wannie, w najgorszym wypadku — w balii.

Po każdym dziecku woda bezwzględnie musi być zmieniana i wanna myta roztworem lizolu, sublimatu lub bielidła.

Najlepsza temperatura wody: 28 ° C.

Dla oszczędności czasu i wody możemy myć dzieci stojące w wannie (lub balii).

Technika mycia wygląda następująco: w osobnym wiadrze przygotowujemy w odpowiedniej temperaturze wodę, dziecko staje w wannie, litrowym garczkiem zlewamy całe dziecko wraz z głową. Następnie namydlamy wpierw głowę a potem całe ciało (o ile każde dziecko ma swoją myjkę, to myjką, o ile nie — to ręką), przy czym dziecko pomaga bardzo wydatnie; szczoteczką do paznokci szorujemy nogi i stopy. Gdy już dziecko jest dobrze namydlone, paroma litrami wody spłókujemy głowę i ciało, szybko wycieramy — przy czym główną rolę gra dziecko — i kąpiel jednego dziecka jest skończona.

Dziewczynki z długimi włosami powinny mieć włosy myte osobno na miednicy, najlepiej przed „kąpielą" przez trzecią osobę. Kąpiel przeprowadza higienistka, w razie jej braku wychowawczyni danej grupy przy pomocy drugiej wychowawczyni lub silnej dziewczyny, gdyż kąpiel w tych warunkach jest ciężką pracą fizyczną. Jeżeli dzieci jest dużo i zależy nam na czasie, pracę należy jak najbardziej zmechanizować, czynny udział dziecka skrócić do minimum na rzecz szybszego działania personelu. Przy zgraniu i odpowiednim tempie jedno dziecko zajmuje około 5—7 minut czasu. Dwie osoby myjące i jedna obcinająca paznokcie mogą obsłużyć setkę dzieci w 5—6 godzin. Pożądana jest pomoc starszych wychowanków przy obcinaniu małym paznokci u rąk i nóg ew. także przy noszeniu i zmianie wody.

W czasie zimy, szczególnie gdy dom jest źle ogrzany i dzieci niedostatecznie ubrane, jest bardzo pożądane, żeby dzieci zaraz po kąpieli szły do łóżek.

Najgorsze nawet warunki lokalowe nie mogą być w żadnym wypadku wytłomaczeniem, że dzieci są brudne, nie domyte. Nie ma łazienki, nie ma umywalni — ale musimy sobie poradzić.

Powyższe uwagi są oparte na własnych doświadczeniach z dwóch domów dziecięcych, w których mimo trudności dzieci były tak czyste, jak w najbardziej troskliwych domach rodzinnych.

Dr Irena Giżycka

TROJE SIĘ NIE MIEŚCI...

Wizytatorka Ministerstwa przeprowadza wizytację państwowego (o wstydzie!) domu dziecka.

Dzieci się kąpią. Właśnie w wannie siedzą dwie kilkunastoletnie dziewczyny.

— Dlaczego kąpiecie po dwoje? — pyta wizytatorka kierowniczkę.

— Bo troje, proszę pani wizytatorki, się nie mieści.

Co spowodowało tę autentyczną odpowiedź kierowniczki? — Niepokój, że usłyszy wyrzut za marnotrawstwo wody, opału, może i czasu.

Stopień kultury kraju mierzy się ilością mydła, zużywanego przez jego mieszkańców.

Czy to samo da się powiedzieć o domu dziecka? I tak, i nie. Proponujemy poprawkę: stopień kultury domu dziecka mierzy się zarówno ilością mydła zużytego racjonalnie przez jego mieszkańców, jak ilością mydła nie zmarnowanego przez jego mieszkańców.

Uczymy dzieci (i młodzież) sensownego używania mydła. A więc unikania zarówno skąpstwa jak i rozrzutności.

Wychowawcy proszeni są o podawanie swoich trudności i osiągnięć w tym zakresie.

SPIS WYDAWNICTW DLA DZIECI

Znaki:

Bierzemy pod uwagę przeciętny poziom szkoły podstawowej.

I — dzieci od 7 do 9 lat	* — książka dobra
II — dzieci od 9 do 11 lat	** — książka b. dobra
III — dzieci od 11 do 14 lat	*** — książka wybitna
IV — powyżej lat 14	

Książki oznaczone znakiem I nadają się również do głośnego czytania dzieciom w wieku przedszkolnym.

KSIĄŻKI NOWE

ANDERSEN H. C. Baśnie. Warszawa, 1946. „Książka" (Z wydawnictw J. Mortkowicza), str. 148, 2 nlb., zł 120.

Baśnie o niewysłowionym uroku, pełne poezji, uczucia i subtelnego humoru. Poetyczna symbolika Andersena nie pozbawia stworzonych przez

niego postaci — pełnego życia. Wybór dobry (może oprócz baśni O dużym i małym Klausie): Królewna na ziarnku grochu, Calineczka, Nowe szaty cesarza, Kalosze szczęścia (mało znana baśń), Stokrotka, Cynowy żołnierz, Dzikie łabędzie, Rajski ogród, Latający kufer, Bociany, Świniopas. Dobre tłumaczenie, duży, wyraźny druk . Czekamy na dalsze tomy. (II, III, **)

BRZECHWA JAN. Opowiedział dzięcioł sowie. Ilustr. Ha-ga i E. Lipiński. W-wa 1946. „Czytelnik", str. 33, 1 nlb. zł 400.
Dowcipne opowiadanie wierszem dla dzieci młodszych o . . . spółdzielczości. Zwierzęta, wyzyskiwane przez właścicieli sklepów w lesie — wilka i rysia — zakładają spółdzielnię. Dobry pomysł, dobrze wydane, b. dobre ilustracje. Cena stanowczo za wysoka. (II)

BRONIKOWSKA ZOFIA. Wiatr nastawia mikrofon. Kraków 1946. S. Kamiński, s. 47, zł 150.
Szereg nastrojowych, melodyjnych wierszyków. (I)

GRUSZECKA ANIELA. Od Karpat nad Bałtyk. Opowieść z ilustracjami J. Karolaka. Warszawa 1946. „Czytelnik", s. 284, 4 nlb., zl 380.
Książka Gruszeckiej obejmuje lata 1939 — 45. Treść jej stanowią losy wiejskiego chłopca, którego wojna wyrywa z rodzinnej zagrody, przerywając pracę jego nad polepszeniem gospodarki. Na robotach w Niemczech chłopiec widzi po raz pierwszy morze i styka się z zagadnieniem polskości ziem, jeszcze wtedy nie odzyskanych. Aktualne zagadnienia autorka przeprowadziła w ramach barwnej i żywej powieści. Niebanalna postać bohatera, ciekawie ujęty obraz środowiska wiejskiego, b. dobry język tworzą jedną z wybitniejszych powieści powojennych. (III, **)

SZELBURG - ZAREMBINA EWA. Towarzysze. Warszawa 1947. PZWS,
Ładnie, przejrzyście przeprowadzone porównanie między życiem ludzi i zwierząt. Szereg obrazków, opatrzonych krótkimi wierszykami, ukazuje ludzi i zwierzęta w podobnych sytuacjach. (I, *)

SZELBURG-ZAREMBINA EWA. Jak Paździorek budził serca w ludziach. Łódź 1947, Łódzki Instytut Wydawniczy, str. 22.
Nastrojowe opowiadanie o jesieni, pisane ładnym językiem (proza rymowana). (I, II)

ŚWIRSZCZYŃSKA ANNA. Arkona, gród Świętowita. Z dziejów słowiańskiej Rugii, czyli Rany. Powieść dla starszej młodzieży. Kraków 1946. „Książka", str. 233, zł 230.
Powieść Świrszczyńskiej przenosi czytelnika w okres potęgi słowiańskich ludów. Miejscem akcji jest Arkona, miasto, gdzie znajdowała się świątynia Świętowita o czterech obliczach, najpotężniejszego z bogów słowian

skich. Na tle barwnych scen z życia mieszkańców wyspy, która była miejscem kultu dla Słowian i sąsiednich ludów, oraz centrum handlu międzynarodowego, rozwija się kilka wątków. Najważniejszy z nich to losy Nakona, bohaterskiego wodza Ranów, który opuszcza dom i niedawno poślubioną małżonkę i ginie w obronie pobratymczego grodu Szczecina, w wojnie z Sasami. Nakon ginie, ale Niemcy zostają pobici. Plastyka postaci, barwność obrazów zbliżają czytelnika do opisywanej epoki i pomagają w przeprowadzeniu myśli przewodniej książki: „Póty jesteśmy silni, póki trzymamy się razem ze słowiańskimi ludami przeciw Niemcom". (III, IV, **)

WZNOWIENIA

BURNETT H. F. Tajemniczy ogród. Powieść dla młodzieży. Tłumaczyła z angielskiego Jadwiga Włodarkiewiczowa. Wyd. 3 z ilustracjami W. Sołowijówny. Warszawa 1946. Gebethner i Wolff, str. 250, 2 nlb.

Odrodzenie duchowe kapryśnej, rozpieszczonej dziewczynki. Odrodzenie duchowe i fizyczne nerwowego, chorego chłopca. Przemiana dwojga samotnych egoistów w radosne i zdrowe dzieci następuje pod kojącym wpływem natury i dzięki przyjaźni prostych, dobrych, związanych z przyrodą ludzi. Prawda psychologiczna, świetne typy, nastrój, sugestywne oddanie piękna przyrody sprawiają, że „Tajemniczy ogród", mimo pewnych rzeczy już przebrzmiałych, jest jeszcze ciągle jedną z najpiękniejszych książek dla młodzieży. (III, **)

LEAF MUNRO. Fernando. (Opracowała) Irena Tuwim. Ilustr. R. Lawsona. Warszawa 1947. J. Kubicki, zł 260.

Barwna, humorystycznie ujęta historyjka o niezwykłym byczku, który gardził walką i karierą, lubił kwiaty i zachwycał się naturą. Oryginalny pomysł, ujęty w dowcipną formę stylistyczną, doskonała strona graficzna. Książka podoba się dzieciom, chociaż mały czytelnik nie potrafi całkowicie ocenić oryginalnego humoru i wdzięku tej nieprzeciętnej w swoim rodzaju książki. (I, *)

MAKUSZYŃSKI KORNEL. Wielka brama. Powieść. Wyd. 3. Warszawa 1947. B. Matuszewski, str. 284, zł 480.

Niezwykłe przygody chłopca w Gdyni i na morzu. Osierocony chłopiec znajduje dom i rodzinę w osobach dwojga starych dziwaków o złotych sercach, emerytowanego kapitana okrętu i jego gospodyni, oraz zostaje zaplątany w tajemniczą przygodę, związaną z ukrytym skarbem jego opiekuna. Książka posiada zalety i wady twórczości Makuszyńskiego: żywą akcję, humor, optymizm — patos i rozwlekłość. (III, IV)

MORCINEK GUSTAW. Narodziny serca. Poznań 1947. Albertinum, str. 183, zł 200.

Pod wpływem przyjaźni i dobroci ludzkiej w wykolejonym chłopcu budzi się uczucie i sumienie. Tło tej powieści, pełnej uczucia i wiary w człowieka stanowi Śląsk — twarde i bohaterskie życie górników. (III, *)

PORAZIŃSKA JANINA. Maciuś Skowronek. Rys. S. Bobińskiego. Wyd. 2. Warszawa 1946. „Nasza Księgarnia", str. 68, zł 85.

Wesołe opowiadania z życia wiejskiego dziecka. Maciuś przeżywa szereg zabawnych przygód we własnym domu i ogródku. Większość z tych wydarzeń wynika z innego sposobu myślenia dorosłych i dzieci. Doskonale oddana psychika dziecięca i wdzięk dziecinnego rozumowania. (I, II, *)

ROSINKIEWICZ KAZIMIERZ. Wesoły turniej. Powieść dla młodzieży. Katowice 1946. „Michalineum Novum", str. 191, 1 nlb., zł 270.

Rzecz dzieje się w prowincjonalnym miasteczku. Pokłóceni uczniowie z dwóch różnych szkół pod wpływem dobrych wychowawców rezygnują z niedobrego pomysłu pojedynku według wszelkich reguł kodeksu honorowego. Zamiast pojedynku następuje turniej ... zalet. Po dwóch turniejach na spryt i odwagę następuje trzeci na czyn obywatelski, którego rezultatem będzie wspólnymi siłami zbudowany domek dla bezdomnej rodziny. Ładny stosunek dorosłych do młodzieży. (III)

RABSKA ZUZANNA. Baśnie Kaszubskie. Wyd. 4 uzupełnione. Bydgoszcz 1946. „Nauka", str. 107, 3 nlb., zł 160.

Oryginalne baśnie i podania, których tło stanowi morze i wybrzeże, miasta i miejscowości nadmorskie. Jaka szkoda, że ta aktualna i potrzebna książka ukazała się w formie wydania dla dorosłych. Drobny druk i brak ilustracyj odstraszy od niej dzieci. (III)

SZELBURG-ZAREMBINA EWA. Najmilsi. Ilustr. W. Zawidzka. Warszawa 1946. PZWS, str. 118 i 2 nlb., zł 190.

11 opowiadań z życia zwierząt, wychowanków małej dziewczynki. W opowiadaniach, napisanych na tle własnych wspomnień autorki, brzmią akcenty liryczne, dużo jest ciepła i serdeczności, brak im jednak żywej akcji. (II, *)

ZAWADZKA STEFANIA. Gaptuś i Kruczek. Rys. F. Themerson. Warszawa 1946. „Nasza Księgarnia", str. 31, zł 75.

Łatwe, wesołe opowiadanie o wiejskim chłopczyku i jego piesku. Dobra forma graficzna. (I)

Stefania Wortman

RECENZJE

STEFANIA SEMPOŁOWSKA — Na ratunek. Spółdz. Wydawnicza „Książka“, str. 296.

Książka „Na ratunek“, jak się dowiadujemy ze wstępu, jest pierwszym tomem wydawnictwa, które ma objąć spuściznę literacką Stefanii Sempołowskiej oraz wspomnienia o niej dawnych towarzyszy jej pracy. Wydawnictwo to należy powitać z głęboką radością. Przybliży ono społeczeństwu piękną postać „panny Stefanii“, przedłuży i zwielokrotni wpływ jej wielkiej indywidualności. Dobrze, że książka „Na ratunek“ poprzedzona jest wstępem prof. Natalii Gąsiorowskiej zawierającym krótką lecz plastyczną charakterystykę Sempołowskiej, „natchnionej nauczycielki“ i bohaterskiej „bojowniczki o prawdę i wolność, wiernej ideałom Człowieka“.

Spuścizna literacka Sempołowskiej jest obszerna. Warto pomyśleć, jakie wartości reprezentuje książka „Na ratunek“, poświęcona niebezpiecznym wyprawom podbiegunowym, którą wybrano na pierwszy tom wydawnictwa.

Poszukiwanie złota na Alasce, zacięte walki między białymi, a Bogu ducha winnymi Indianami, potoki krwi wylewanej w imię czegoś, z czego czytelnik z trudem zdaje sobie sprawę — w takiej szacie jawi się chłopcom wyrastającym z dzieciństwa upragniona Przygoda. A potem długo jeszcze wabią ich oczy sensacyjne tytuły książek kryminalnych, książek, które dostarczają im silnych emocji, niezbędnych chłopcu do życia.

Z książki Stefanii Sempołowskiej „Na ratunek“ wyziera inna przygoda. Przygoda groźna, posępna, wymagająca najwyższego napięcia woli, będąca wynikiem czynu podjętego w imię miłości nauki i poszanowania ludzkiego życia. Tu wiadomo, o co się walczy — a są to najszlachetniejsze uczucia i są to takie pojęcia, jak obowiązek, odwaga, honor.

Książka Sempołowskiej opisuje dzieje tragicznej wyprawy gen. Nobilego na sterowcu „Italia“ do bieguna północnego oraz przebieg akcji ratowniczej, zorganizowanej dla rozbitków sterowca przez cały świat. Książkę poprzedza szkic historyczny podający przebieg wszystkich wypraw do bieguna północnego do r. 1928.

Północ jest groźna, dzika, niedostępna, a jednak — jak wszystko co tajemnicze i niezbadane — fascynuje i wabi uczonych, badaczy, lotników, marynarzy. Jedni wracają jako tryumfatorzy, inni nie wracają nigdy. Nieszczęśliwa wyprawa gen. Nobilego, rozbita na trzy grupy zagubione wśród lodów, wywołuje niespotykaną w dziejach wypraw podbiegunowych ilość wypraw ratowniczych.

Szczegółowo i dokładnie, ze świetną znajomością geografii a jednocześnie barwnie i plastycznie opisuje Sempołowska przebieg wyprawy

gen. Nobilego, katastrofę i dzieje rozbitków w ciągu 48 dni przebywających na ruchomych krach oceanu. Miłośnik przygód ma chwile wielkich emocji, miłośnik geografii wiele nauczyć się może.

Lecz wartość książki Sempołowskiej sięga głębiej. Nie tylko wzbogaca intelekt i zaspakaja żądzę wrażeń, lecz porusza uczucia, które przywykliśmy mierzyć najwyższą miarą. Na tle niebezpieczeństwa, grozy śmierci i strasznych warunków bytowania wśród lodów ukazuje się jak w prześwietleniu rentgenowskim wartość charakterów. Tu się dowiadujemy, kto więcej niż życie ceni szacunek dla samego siebie. Czytelnik całą duszą podziwia bohaterskiego Malmgreena, odwagę i poświęcenie lotników i marynarzy spieszących z pomocą, a nie może, mimo tłumaczeń, darować Nobilemu, że on — dowódca wyprawy — pierwszy opuścił krę, korzystając z pomocy. Książka pomaga do skrystalizowania pojęć etycznych, daje wzory do naśladowania.

Jeszcze jedna idea bliska Sempołowskiej znalazła odźwierciadlenie w książce. To idea braterstwa międzynarodowego i współpracy w imię wspólnych celów. Na ratunek rozbitkom dążą Włosi i Francuzi, Norwegowie i Rosjanie. Bez wahania dąży — i ginie — bohaterski Amundsen, mimo osobistej niechęci do Nobilego. Nie idea nienawiści, lecz idea solidarności i pokojowej współpracy przepaja karty tej książki.

Piękną i mądrą książkę czytać będzie młodzież i dorośli. Czekamy niecierpliwie na dalsze tomy dzieł Sempołowskiej.

S.

IRENA MERŻAN: Moja praca w domu dziecka. „Książka" 1947 r., str. 96, cena zł 150 .

Pedagogiczna literatura polska wzbogaciła się o nową pozycję. Poza książkami Korczaka, powstałymi z rozważań nad własną pracą wychowawczą — domu dziecka i na koloniach — nie mieliśmy ani jednej pozycji tego rodzaju. Książeczka Merżan jest pierwszą, w której znaleźć możemy opis własnej pracy wychowawczej w zakładzie.

Praca ta obejmowała grupę 24 dzieci w wieku przedszkolnym. Dzieci przebywały początkowo w klasycznym domu podrzutków, gdzie rozwój ich był starannie hamowany. Rozkwitły, gdy przeniesiono je na wieś do niewielkiego zakładu, w którym oprócz nich była także grupa dzieci szkolnych.

W sposób prosty, a trzymający cały czas czytelnika w stanie napięcia uwagi i zainteresowania, opowiada nam wychowawczyni o sposobach zapoznania dzieci ze światem otaczającym, od którego początkowo były odcięte, o pracach przedszkolnych, o świętach w zakładzie, o organizacji życia w sypialni, o technice organizowania posiłków, o walce z moczeniem nocnym, o zainteresowaniach seksualnych dzieci, o meto-

dach indywidualnego podejścia do wychowanków, o kontakcie z matkami odwiedzającymi dzieci, o technice prowadzenia notatek o poszczególnych dzieciach i o życiu całego zakładu.

Książeczka pisana jest szczerze i prawdziwie: ukazuje codzienny trud pracy wychowawczej — i jej osiągnięcia.

Praca wychowawcza autorki tej książki była pracą poważną, solidną, wnikliwą — nie ma w niej śladu łatwizny, „bylejakości", efekciarstwa. Ze sposobu podejścia autorki do szeregu zagadnień wychowawczych — wiele może nauczyć się chętny wychowawca.

Broszura poświęcona jest Stefanii Wilczyńskiej, wieloletniej kierowniczce Domu Sierot, założonego przez Janusza Korczaka, której uczennicą i współpracownicą była Merżan.

Irena Chmieleńska

„NOWA SZKOŁA" — miesięcznik wydawany przez Ministerstwo Oświaty, poświęcony współczesnym zagadnieniom wychowania i nauczania, obejmuje dział artykułów treści pedagogicznej i dydaktycznej, kroniki oświatowej uwzględniającej szkolnictwo zagraniczne i informującej o współpracy międzynarodowej w dziedzinie kształcenia i wychowania oraz dział aktualii i ocen.

Pismo „NOWA SZKOŁA" postawiło sobie za zadanie natchnąć nowym duchem pracę wychowawczą podciągając ją do wielkich przemian społeczno-politycznych. Szereg artykułów porusza zasadnicze zagadnienia wychowawcze, a dział „Kroniki oświatowej" szeroko potraktowany zaznajamia nas z pracą międzynarodową i osiągnięciami zagranicy w dziedzinie nowego wychowania i nauczania.

Aktualia informują o wszelkich zarządzeniach, zmianach, zamierzeniach i pracach Ministerstwa Oświaty i instytucji związanych z nauką i wychowaniem. Wielką zaletą pisma jest zamieszczenie szeregu artykułów związanych z życiem praktycznym, dających wychowawcom cenne wskazówki i ułatwiających pracę zawodową.

W Nr 3, rok II, Teodora Męczkowska, w artykule pt. „Zagadnienia wychowawcze" porusza sprawę zorganizowania wychowania w szkole jako zagadnienie podstawowe. Zwraca uwagę na konieczność „profilaktyki wychowawczej". Fundamentem planu wychowawczego powinien być „wzajemny stosunek dzieci do siebie i ich stosunek do pracy w ogóle, a nauki w szczególności", stosunek umożliwiający współżycie i „tworzący zespół harmonijny, w którym panuje ład, porządek i kultura". Autorka, w trosce o odbudowę duszy ludzkiej, zwraca uwagę na wykorzenienie złych nawyków z okresu wojny, jak np. nieposzanowanie cudzej własności. Zadaniem szkoły „nie jest tylko dostarczanie wiedzy, lecz przede wszystkim wychowanie pełnego, rozumnego człowieka, odpowiedzialnego członka rodziny, społeczeństwa, państwa i narodu".

Nr 4-5, rok II, zawierają kilka arykułów poświęconych wychowaniu. W artykule swym „Wychowanie jako zawód" Zygmunt Mysłakowski zwraca uwagę na niebezpieczeństwo grożące zawodowcom, na „procesy zacieśniające i ograniczające wrażliwość i horyzont umysłowy" prowadzące do zrutynizowania i zgorzknienia. Jako środek przeciw ujemnym wpływom „zawodowości" wychowawców, autor wskazuje na „źródła niewyczerpanej odnowy", otwarte dla tych, którzy widzą w dziecku „cud odradzającego się życia". Rolę „regeneratora duchowej sklerozy" spełnia wprowadzenie do życia radości i „uczestniczenie w kulturze, która reprezentuje zupełnie inne trwanie niż nasza ograniczona egzystencja jednostkowa".

Upowszechnienie szkoły jest związane z rozbudową sieci burs i internatów. W zagadnienie wychowania licznej młodzieży w środowisku pozarodzinnym wprowadza Ignacy Jakubiec w artykule pt. „Zagadnienia wychowawcze w bursach i internatach". Mając na uwadze troskę o harmonijny rozwój psychofizyczny wychowanków, autor omawia wychowanie fizyczne, intelektualne, moralno-społeczne, estetyczne, seksualne i zastanawia się nad środkami wychowawczymi. Autor, mówiąc o wychowaniu fizycznym, słusznie podkreśla wielką rolę pracy fizycznej w ramach gospodarstwa domowego i ogrodniczo-hodowlanego, mającej niedoceniane u nas znaczenie wychowawcze.

W celach wychowania intelektualnego na pierwszym miejscu stawia autor troskę „o rozbudzenie i wyrabianie zainteresowań kulturalnych" i „o utylitaryzm wiedzy" w szerokim znaczeniu. Środkiem do osiągnięcia tego celu będzie stworzenie w internacie dobrych warunków pracy, pomoc dla zapóźnionych czy mniej zdolnych w ramach samopomocy, zorganizowanie kółek samokształceniowych, literacko-naukowych, i biblioteki. Należy zapoznać młodzież z techniką pracy umysłowej i z umiejętnością korzystania z książek i czasopism, wciągając ją stopniowo do samodzielnej pracy naukowej. Środkiem do urabiania charakteru wychowanków na zasadach samowychowania, współdziałania i pomocy wzajemnej może być dobrze zorganizowany samorząd wychowanków „nastawiony na realną, celową, do rzeczywistości przystosowaną pracę wychowawczą". Uwrażliwieniem na piękno w każdej formie zajmie się wychowanie estetyczne, zaprawiając jednocześnie do estetyki życia codziennego.

Zagadnienie seksualne jest jednym z najtrudniejszych do rozwiązania. Bezpośredni środek w wychowaniu seksualnym autor widzi w uświadomieniu seksualnym. Kształcenie woli, sublimacja popędu, wychowanie fizyczne będą miały znaczenie profilaktyczne, zapobiegające perwersji i zaburzeniom płciowym. Obowiązkiem wychowawców jest rozwiązywać to zagadnienie, kierując się taktem, wyczuciem, zdobywając zaufanie wychowanków.

Omawiając sprawę środków wychowawczych autor występuje przeciw karom, wywołującym mechaniczną, bierną karność. Przeciwstawia im takie środki, jak zachęta, dobry przykład, pochwała, wprowadzenie zasady wzajemnej pomocy i współdziałania, kierowania się życzliwością i uprzejmością. Regulaminem dnia i spisem lektury pomocniczej kończy autor swoje rozważania na temat zagadnień wychowawczych w bursach i internatach.

W artykule „O wychowaniu muzyczno-ruchowym" („Nowa Szkoła" nr 4-5, rok II), Zofia Kwaśniewska podkreśla wychowawcze i kształcące znaczenie wychowania muzyczno-ruchowego, zwiększającego skalę doznań emocjonalnych dzieci i młodzieży, dając im głęboką radość, równowagę psychiczną, dając ujście w „szlachetnej formie" naturalnej potrzebie ruchu i wyżycia się młodzieży. Wychowanie muzyczno-ruchowe przyczynia się do estetycznego wychowania. O wadze tego zagadnienia świadczy fakt powstania w Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego, Komisji Wychowania Estetycznego z Sekcją wychowania muzyczno-ruchowego.

Autorka wymienia i omawia różne formy łączenia ruchu z muzyką, dzieląc je na muzyczno-ruchowe, jak: tańce jako „tematy rytmiczno-taneczne", marsze i zabawy ze śpiewem, zabawy i ćwiczenia rytmiczne i ćwiczenia gimnastyczne przy akompaniamencie muzycznym, stosowane przez nauczyciela gimnastyki. Do ćwiczeń ruchowo-muzycznych, stosowanych przez nauczyciela śpiewu i muzyki, autorka zalicza: ćwiczenia rytmiczne, zabawy rytmiczne, muzyczne i ze śpiewem oraz ilustracje ruchowe do pieśni.

Dążąc do upowszechnienia wychowania muzyczno-ruchowego, autorka podkreśla konieczność wprowadzenia tego przedmiotu do zakładów kształcenia nauczycieli i ujednostajnienia programów w tej dziedzinie pracy.

„Wychowanie muzyczno-ruchowe stanowi niezbędną część całokształtu zagadnień wychowawczych. Wspólny, muzyczny rytm gromadny jednoczy wszystkich w zgrany i zharmonizowany zespół. Przez radosny ruch przy szlachetnej muzyce wychowujemy ludzi szczęśliwych i lepszych".

Wacław Schayer: Nowe podstawy społeczne wychowania („Nowa Szkoła", nr 10-12, 1946). W Rozdziale I, zatytułowanym „Szkoła wobec przemian społeczno-politycznych", autor swierdza istnienie dwóch kategorii czynników oddziaływania wychowawczego. Jedna to „elementy aktualnej rzeczywistości" (zarówno zgodne ze zmianami społeczno-politycznymi, jak i ustosunkowane negatywnie) oddziaływujące automatycznie. Druga kategoria, to czynniki oddziaływania celowego, planowego, podejmowane świadomie w myśl założeń określonej polityki. Stosunek oddziaływania czynników automatycznych do celowych najczę-

ściej bywa przeciwstawny, zwłaszcza w okresach wielkich przemian społeczno-politycznych. Zachwiany dotychczasowy porządek szuka oparcia w szkole, w jej charakterze zachowawczym. Czynniki automatycznego działania zaczynają wpływać hamująco. Czynniki działające celowo, zmierzające do nadania wychowaniu nowego kierunku, ścierają się z czynnikami hamującymi. Obecnie jesteśmy w stadium ścierania się elementów rzeczywistości o charakterze zachowawczym z czynnikami postępowymi zmierzającymi do realizacji nowych form Egzekutywa polityczna będąca w rękach czynników dążących do urzeczywistnienia nowych form, pozwala na przebudowę systemu wychowania odgórnie.

Ten stan rzeczy wychowawca musi sobie uświadomić i musi zdać sobie sprawę, które z czynników wychowania należą do form znikających, a które dążą do wychowania nowego człowieka do nowej rzeczywistości.

Rozdział II mówi o „Zanikających sprzecznościach". Przykładem przeciwstawiania się czynników aktualnej rzeczywistości o charakterze hamującym czynnikom postępu, jest stosunek kształcenia ogólnego do zawodowego, obarczonego tradycyjnym nastawieniem, np. przeciwstawianie tych dwóch dziedzin kształcenia jest następstwem przekonania, że kształcenie ogólne jest przywilejem pewnej grupy społecznej, tymczasem utarty zwyczaj przeciwstawiania sobie wykształcenia ogólnego zawodowemu w czasach, kiedy wychowanie ogólne musi być udziałem wszystkich, staje się bezpodstawny.

W rodziale III, pt. „Założenia i organizacja systemu kształcenia" czytamy: „Sprawiedliwy społecznie ustrój szkolny — to warunek konieczny realizacji wychowania demokratycznego". „Wychowaniu demokratycznemu należy postawić następujące ogólne zadanie: oprzeć życie jednostek i narodu na zasadach poszanowania człowieczeństwa, sprawiedliwości społecznej, postępu i demokracji, utrwalić i rozwinąć tę drogę.

W rozdziale IV, autor podaje najistotniejsze cechy struktury społecznej. „Urzeczywistniająca się demokracja gospodarcza stwarza takie warunki, w których wszystkie grupy społeczne stają się istotnie otwarte dla wszystkich". Założenie to umożliwi usunięcie elitarnego charakteru szkoły i uwzględni zasadę równego startu.

Drugą cechą urzeczywistniającej się struktury społecznej wpływającej na system wychowania „jest ograniczenie zakresu i możliwości takiego indywidualnego działania, które jest ścieraniem się w walce interesów jednostkowych".

„W miejsce przeciwstawności interesów jednostek i grup społecznych zarysowuje się solidarne współdziałanie". Ta zmiana rzeczywistości społecznej wysuwa zagadnienie wychowania społecznego młodzieży, opartego na samorządzie szkolnym, spółdzielczości itp. z dążeniem do jak najpełniejszego rozwoju indywidualnego.

W oparciu o ustrój społeczny należy tak zorganizować pracę szkół, aby przygotować młodzież do współżycia na zasadach wzajemnej pomocy, poszanowania praw człowieka i potrzeb dobra społecznego.

Irena Brodzińska

PISMA NADESŁANE

„Życie Szkoły" — Miesięcznik poświęcony organizacji wychowania. Toruń (Nr 10 — 1946 r., Nr 1 i 2 — 1947 r.). ZNP.

Treść pisma odpowiada tytułowi, jest wielostronna bogata, żywa — przyczynia się do podniesienia kwalifikacji zawodowych nauczyciela i rozszerzenia jego zainteresowań. — Temu celowi służą też konferencje rejonowe, których program opracowywany obecnie na nowo przez nauczycieli Kuratorium Pomorskiego — znajduje odbicie w piśmie (nr 10 — 46 r. w całości, w tamtych numerach — artykuły.) W tej pracy programowej uderza dążenie wychowawców do poznania zagadnień nurtujących współczesnego człowieka, zarówno światopoglądowych (idealizm - materializm), jak społecznych i kulturalno-artystycznych. Planowość konferencji rejonowych, dyskusje nad ich celami i funkcjami zawodowymi (A. Waszak — nr 2, 1947 r.), przydzadzą się każdemu, kto uczestniczy w pracy tego rodzaju, chociażby nie był nauczycielem. Inny dział pisma stanowią odpowiedzi wybitnych pedagogów, teoretyków, praktyków, organizatorów na ankietę „Życia Szkoły" na temat „Najbardziej aktualne i ważne problemy pedagogiczne doby obecnej". Wypowiedzi poruszają zarówno organizacyjny i metodyczny problem kształcenia nauczycieli, jak rozważania teoretyczne z zakresu filozofii personalistycznej i wysnutych z niej wniosków pedagogicznych. Dużo miejsca poświęca się roli szkoły w dzisiejszej zmienionej rzeczywistości, co jeszcze raz przekonywa o ścisłym związku zagadnień pedagogicznych z całym życiem ludzkim: z praktyczną działalnością i teoretycznymi problemami. — Artykuł o „uczniu leniwym" (dr Ilgiewiczowa — nr 1, 47 r.), jest cennym przyczynkiem dla wychowawcy, a z artykułu „Frekwencja szkolna a wyniki nauczania" (Bandura — nr 1, 47 r.), przepisujemy zdanie: „Odsetek niepowodzeń szkolnych prawie że się pokrywa z odsetkiem absencji szkolnej". Należy to sobie zapamiętać!

Artykuł o organizacji pracy (Fayolizm — nr 2, 47 r.) i o terminologii pedagogicznej (prof. Sośnicki — nr 1, 47 r.) dopełniają treści interesującej dla szerszego ogółu wychowawców. Reszta — to artykuły metodyczne i sprawozdania z książek i czasopism. Spotykamy też „zadanie" z zakresu znajomości literatury pedagogicznej, obmyślone dla nauczycieli.

Pismo pożyteczne dla wychowawców, zwłaszcza dla wychowawców dzieci w wieku szkolnym.

n.

Ministerstwo podaje do wiadomości, iż ukazał się pierwszy zeszyt podręcznika dla nauczycieli nauki o Polsce i świecie współczesnym pt. „Prawno-ustrojowe zagadnienia współczesnego świata“, napisany przez prof. K. Grzybowskiego pod redakcją dr J. Sieradzkiego i wydany przez Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych. Wysoki nakład wydawnictwa (100.000 egz.) oraz przystępna cena zeszytu (18 zł) umożliwiają nabycie książki każdemu nauczycielowi.

KRONIKA

ZJAZDY KIEROWNIKÓW DOMÓW DZIECKA

W marcu odbył się zjazd kierowników Domów Dziecka okręgu poznańskiego.

Zjazd ten różnił się od poprzednich dwiema inowacjami:

1. organizatorzy podali kierownikom punkty do sprawozdań wychowawczych z ich pracy, dzięki czemu sprawozdania były bogatsze w treść niż na innych zjazdach, które w swoim programie umieściły również sprawozdania kierowników.

2. zorganizowana była wystawa prac dziecięcych względnie zabawek wykonanych przez personel dla dzieci.

Punkty sprawozdań były następujące:

a) w jaki sposób rozwijane są i zaspakajane zainteresowania dzieci;
b) co zakład uczynił dla wyrównania opóźnień w nauce dzieci starszych;
c) jakie możliwości istnieją w zakresie przygotowania młodzieży do zawodu;
d) ilu absolwentów szkoły powszechnej i młodzieży starszej oczekuje na skierowanie do szkół średnich i do praktycznej nauki zawodu (podać obrany zawód);
e) czy dzieci utrzymują kontakt ze środowiskiem, organizacjami młodzieżowymi, kolegami spoza zakładu;
f) jakie wyniki dały kuracje dzieci moczących;
g) jakie problemy wychowawcze nastręczają najwięcej trudności w rozwiązaniu ich na terenie zakładu;
h) jakie są najistotniejsze potrzeby zakładu.

Jedno ze sprawozdań zbudowane wg. powyższych punktów przez kierowniczkę Państw. Domu w Czerniejewie — umieszczamy w bieżącym numerze.

Co do „wystawy“ poznańskiej, to przede wszystkm stwierdzić należy, że od wszelkich innych wystaw różniła się ona brakiem selekcji wstępnej eksponatów — pokazane było wszystko, co Domy Dziecka przysłały. Nie był to przypadek, było to celowe. Chciano mieć przegląd tego, co wytwarzają zakłady.

Ponieważ informacje o wystawie przesłane były do Domów Dziecka zaledwie na dwa tygodnie przed terminem zjazdu — przysłano raczej to, co w domu było, a nie to, co — w innych warunkach — zrobiono by specjalnie na wystawę.

Zobaczyliśmy więc, co robią wychowankowie Domów Dziecka Okręgu Poznańskiego. A warto zaznaczyć, że z 56 istniejących w terenie zakładów — 31 nadesłało eksponaty.

Prace dzieci podzielić można na kilka grup, dzielić je też można wg kilku zasad podziału.

Mamy więc — prace użytkowe o charakterze ubraniowym;
prace użytkowe — pomoce szkolne;
prace służące zdobieniu;
zabawki;
prace nie wiadomo jakim celom służyć mające;

albo — mamy prace dziewcząt i prace chłopców;

albo — prace krawieckie, trykotarskie, hafciarskie, z drzewa, z tektury, z papieru itd.

Zobaczyliśmy kilka ładnych sukienek i fartuszków, szytych przez dziewczęta, szereg lepiej i gorzej wykonanych rękawic, skarpet, sweterków, czapek, miękkich pantofli.

Zobaczyliśmy kilka nieładnych i kilka ładnych serwetek haftowanych, szereg bardziej — niż to warte — wypracowanych chusteczek do nosa, kilka chusteczek ładnych, szereg zdecydowanie brzydkich makatek i poduszek, dużą stosunkowo ilość pudełek ze szkła lub celofanu a nawet wielobarwnych pocztówek — wszystkie łączone wstążkami, pudełek-puzder atłasowych, haftowanych, uwstążeczonych, kilka równie wymyślnych jak brzydkich poduszek do igieł itd.

Wszystkie te pudełka, poduszeczki, podobnie jak poduszki i makatki są dowodem, że brzydota głęboko zakorzeniona jest w domach dziewcząt (chłopcy do wykonania podobnych rzeczy nie daliby się nagiąć), że czas, energia, myśli, oczy i ręce dziewcząt — zbyt jeszcze często zajmowane bywają robotami niecelowymi, niegustownymi, nie mającymi żadnego sensownego zastosowania.

Niechże kierownicy domów dziewcząt czy wychowawczynie grup dziewczęcych w domach koedukacyjnych włożą więcej myśli w organizowanie zajęć swoich wychowanek, niechże spóbują zainteresować się tym, co czasy obecne uznają za estetyczne, niech nie zatrzymują swoich wychowanek na poziomie słynnego już z braku gustu wieku XIX.

Nie czas i ilość pracy włożonej w wykonanie rękodzieła decyduje o jego wartości estetycznej. Przenosimy rzeczy proste i łatwe — nad rzeczy wymyślne, skomplikowane, „wypracowane".

Widzieliśmy na wystawie celowe i proste pomoce szkolne: ekierki i linijki z grubej tektury (paczki UNRRA), kątomierz drewniany, piórniki z materiału, z tektury, z drzewa (wnętrzne wydłubane scyzorykiem): podstawki do kałamarza, suszki, bryły geometryczne z kartonu itd.

Przedmiotów tych było stosunkowo mało — wszystkie wykonane bez zarzutu.

Najciekawszy i najbogatszy był dział zabawek.

Na 31 domów — 3 zaledwie zaprezentowały lalki, w tym dwa po jednym tylko egzemplarzu.

Jest to jeszcze jeden dowód „braku równouprawnienia" dziewcząt w naszych domach.

Mieliśmy kilka rodzajów zwierząt: z materiału (piękna świnka, ładne koty), z tektury UNRR-owskiej lub z dykty stojące na podstawce na kółkach lub nie, bardzo pomysłowe z papieru — składane, stojące. Przedmioty te przeważnie są wykonane całkowicie lub częściowo przez wychowawczynie — dla dzieci.

Widzieliśmy bardziej i mniej udane domki papierowe dla lalek, parę kompletów drewnianych lub tekturowych mebli (brakło zupełnie mebli z pudełek), papierowego konia z wozem z pudełka, karuzelę, której wózki zrobione były z pudełek od zapałek.

Widzieliśmy pięknego w swej prostocie bąka ze szpulki i patyczka, „diabolo" z puszki od konserw, kilka piłek z gałganków, eleganckie lejce ze sznurka, łódki z kory, łódki z drzewa (z zepsutego łożka — jak się okazało), niezwykle pomysłową motorówkę z pudełka po śledzikach, poruszaną przy pomocy karbidu umieszczonego w pudełku od pasty; piękny drewniany pociąg, rewolwery, korkowce, noże drewniane i metalowe.

Gry reprezentowane były przez szachy (toczone przez chłopców na warsztacie tokarskim), warcaby z kija od szczotki, halmę, chińczyka, bierki, domino... z kory sosnowej i kilka innych

Znaczna większość przedmiotów wykonana została przez dzieci bez użycia specjalnych narzędzi i warsztatów.

Zaprezentowane nam zostały również dwie gazetki i jedna kronika domu dziecka.

Wystawa była dość bogata i bardzo pouczająca.

Powodzenie miała wielkie — wszelkie przerwy w obradach napełniały zwiedzającymi pokój, w którym się mieściła.

Kiedy przyszło do jej likwidacji — okazało się, że „wystawcy" nie tak wiele z sobą zabiorą do domów. Zabawki mianowicie zostały rozchwytane (oczywiście w porozumieniu z kierownikami domów) przez przedstawicieli Ministerstwa i Kuratorium. Staną się one zaczątkiem stałych muzeów prac dziecięcych w Ministerstwie i w Kuratorium.

Ponieważ większość zabawek stanowiła własność dzieci — Ministerstwo w zamian za zabawki, przyśle im książki, na brak których tak bardzo narzekali kierownicy, zwłaszcza z Ziem Odzyskanych.

W następnym numerze umieścimy artykuliki trzech kierowników domów dziecka okręgu poznańskiego — „o majsterkowaniu“ ich chłopców, o tym, co chłopcy sami potrafią zrobić — z niczego i przy pomocy najprostszych narzędzi.

KONFERENCJE KIEROWNIKÓW DOMÓW DZIECKA W OKRĘGU WARSZAWSKIM

Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego zorganizowało cykl konferencji wychowawczych kierowników lub wychowawców domów dziecka.

Udział w tych konferencjach biorą kierownicy lub wychowawcy około 50 domów (na terenie okręgu znajduje się domów 111), położonych w Warszawie i w powiecie warszawskim, przede wszystkim na linii otwockiej. Udział w konferencjach biorą także i ci kierownicy, którzy muszą wyjść z domu o godzinie 3,30 rano, aby dotrzeć na czas na zebranie.

W żadnym chyba zawodzie nie ma tak wyraźnego głodu wiedzy, służącej do pogłębienia pracy zawodowej, jak wśród wychowawców.

Konferencje są kilkugodzinne, odbywają się co czwartek, każdorazowo w innym zakładzie. Są połączone z poznawaniem zakładu, w którym goszczą.

Na konferencjach poruszone były następujące zagadnienia:

1. gry i zabawy dla młodszych dzieci (do lat 11);
2. zajęcia świetlicowe (gry, majsterkowanie i in.);
3. zajęcia świetlicowo - artystyczne;
4. organizacja odrabiania lekcji i douczania;
5. udział wychowanków domów dziecka w pracach gospodarczych i administracyjnych zakładu;
6. karność i kary;
7. dzieci trudne;
8. higiena w domach dziecka;
9. zagadnienie opiekunów prawnych sierot z domów dziecka — dyskusja;
10. kontakt ze środowiskiem,
11. zadania wychowawcze domów dziecka;
12. problemy wychowawcze w Polsce współczesnej;
13. dyskusja nad „Poematem Pedagogicznym“ Makarenki;
14. własność indywidualna i zbiorowa w domu dziecka.

Zagadnienie wprowadzenia w życie prawa opiekuńczego wywołało ożywioną dyskusję.

Wychowawcy (określamy tu tym mianem także kierowników) wykazali duże zrozumienie dla koncepcji opiekunów dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej (sierot, porzuconych, opuszczonych itp.), która, wprowadzona w życie w sposób właściwy, przyczynić się może w znacznym stopniu do złagodzenia losu tych dzieci. Jednocześnie jednak wyrażali — wszyscy — poważne obawy przed konsekwencjami, jakie płynęłyby z nieprzemyślanego i zbyt pochopnego zdecydowania sposobu realizacji tego słusznego w zasadzie założenia.

Wychowawcy mają poważne podstawy do obaw. Wielu z nich opowiedziało zebranym o wielokrotnie powtarzanych na przestrzeni szeregu lat próbach szukania opiekunów dla swoich wychowanków. Okazało się, że opiekunowie tacy mają już w języku warszawskich wychowawców swoje określenie: opiekunowie sezonowi.

Znaleźć człowieka, który podjąłby obowiązek opieki nad dzieckiem z zakładu — nie jest najtrudniej. Jest natomiast rzeczą prawie całkowicie nieosiągalną — znalezienie takiego człowieka, który by podjęty obowiązek wykonywał dłużej niż kilka miesięcy.

Na przywiązywanie się do obcych ludzi, a potem na ich „tracenie" — zużywa dziecko zakładowe wiele energii psychicznej. Każde nowe rozczarowanie pogłębia jego poczucie sieroctwa i „niczyjości".

Opiekunowie — w czasie, w którym jeszcze zajmują się dzieckiem — popełniają niemal zawsze cały szereg niewłaściwości: bądź rozpieszczają dziecko, bądź zaproszone do siebie na święta czy wakacje — szykanują po kilku dniach z powodu rzekomych (czasem i prawdziwych) trudności, jakie im sprawia, bądź też wyzyskują lub starają się wyzyskać i robią przykrości kierownictwu, które broni praw dziecka.

Opiekunowie — czasem zresztą w najlepszej wierze — utrudniają niezmiernie pracę kierownika, dezorganizują życie zakładu, zasypują personel zakładu niesłusznymi pretensjami.

W rezultacie wychowawcy uważają, że wprowadzenie na teren domu dziecka obowiązkowej instytucji opiekunów prawnych z zewnątrz — będzie możliwe dopiero po znacznym podniesieniu się powszechnej kultury społeczeństwa, wyrażającym się m. in. w powstaniu kultury d a w a n i a.

Przy poziomie obecnym — opiekunowie mogą przynieść dziecku więcej szkody niż pożytku — oczywiście, o ile zagadnienie to zechciałoby się rozwiązywać masowo.

Poza tym wychowawcy wyrazili obawę, że nauczenie opiekuna właściwych metod postępowania w sprawach prawnych (występowanie o renty, o nadanie nazwiska itp.) — zajęłoby kierownictwu zakładu więcej czasu i energii niż załatwienie tych spraw.

Po dłuższych rozważaniach tematu zebrani doszli do następującej konkluzji:

kierownictwo każdego domu winno wystąpić do władzy opiekuńczej, jaką jest sąd grodzki z wnioskami o mianowanie opiekunami poszczególnych wychowanków zakładu, pozbawionych opieki rodzicielskiej — tych krewnych dziecka lub obcych mu członków miejscowego społeczeństwa, którzy w przekonaniu kierownictwa gwarantować będą ciągłość i właściwy poziom opieki. W stosunku zaś do pozostałych dzieci pozbawionych opieki rodzicielskiej — wystąpić o mianowanie opiekunem większej liczby dzieci kierownika zakładu lub innych członków personelu domu dziecka.

Niezależnie od sprawy opiekunów prawnych dzieci — wychowawcy opowiedzieli się gorąco za wyszukiwaniem dla każdego dziecka osamotnionego, dla którego nie znajdzie się opiekuna poza zakładem—przyjaciół, opiekunów niewyposażonych w żadne, określone normami, prawa w stosunku do dziecka. Zwrócili przy tym, na podstawie długoletnich doświadczeń, uwagę na niesłuszność nadawania tym „przyjaciołom" nazwy „mama", „tatuś", na niebezpieczeństwo płynące dla dziecka z tworzenia fikcji, wywoływania zbyt silnych przywiązań i zbyt głębokiego zaufania do osób interesujących się nimi, które, najczęściej, zaufanie to jednak zawiodą.

Dyskusję na temat „Poematu Pedagogicznego" podamy w następnych numerach.

CH. T. P. D.

Wśród spraw odbudowującej się rzeczywistości polskiej sprawa dziecka i jego wychowania zajmuje jedno z najpierwszych miejsc. Nie jest obojętne, czy dziecko będzie zdrowe i szczęśliwe, czy zapomni o przeżytych okropnościach, czy rozwój jego nastąpi w sprzyjających warunkach tak, by mogło wyróść na twórczego i dobrego człowieka.

Zagadnienie opieki, wychowania, zdrowia i innych potrzeb dziecka wsi już przed wojną było przedmiotem przemyśliwań, narad i planów ludzi związanych z wsią, pochodzących z niej i tych wszystkich, którzy wiedzieli i czuli, jak mu się dzieje krzywda. W czasie ostatniej straszliwej wojny, która nie oszczędziła nawet dziecka, troska o dziecko wsi stawała się jeszcze większa. Nie przypadek więc zrządził, że pod koniec roku 1945 z inicjatywy Związku Młodzieży Wiejskiej R. P. „Wici" powołane zostało do życia Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci (ChTPD). Trzeba było, by właśnie ludzie pamiętający swoje własne chłopskie dzieciństwo zajęli się sprawą dziecka wiejskiego. Trzeba było, aby do tego dziecka, wychowywanego w innych warunkach niż dziecko miejskie, podeszli ludzie budzący jego zaufanie.

Do celów Towarzystwa należy rozwijanie zarówno u dorosłych jak i u młodzieży zrozumienia konieczności otoczenia dziecka wiejskiego właściwą opieką oraz dążenia do stworzenia społecznych podstaw wychowania zgodnego z duchem i ideałami wsi. W swojej działalności wychowawczej ChTPD opiera się na kulturowych właściwościach wsi, a uwa-

żając rodzinę za najlepsze środowisko wychowawcze, dąży do współpracy z rodziną wiejską, starając się wykorzystać jej wszystkie dodatnie wartości.

Do najważniejszych zadań Towarzystwa należy opieka zdrowotna, wychowawcza i kulturalna nad dzieckiem chłopskim od niemowlęctwa do lat 16.

Ch. T. P. D. interesuje się całokształtem życia dziecka, a współdziałając ze szkołą pomaga jej w roztaczaniu nad nim opieki.

Najważniejszą i podstawową komórką organizacyjną ChTPD jest koło miejscowe. Członkami koła obok rodziców jest również aktywniejsza starsza młodzież. Z kół rozsianych po gminach i gromadach powiatu tworzy się oddział powiatowy, który z kolei stanowi ogniwo oddziału wojewódzkiego. Oddziały wojewódzkie są bezpośrednim pomostem między kołami a zarządem głównym. W chwili obecnej, po roku istnienia, Chłopskie Tow. Przyjaciół Dzieci obejmuje swoją działalnością województwa: gdańskie, kieleckie, krakowskie, lubelskie, łódzkie, olsztyńskie, poznańskie, rzeszowskie, szczecińskie, warszawskie, wrocławskie. W stadium organizacji znadują się województwa śląsko-dąbrowskie i bydgoskie. Oddziałów powiatowych jest 45, kół miejscowych — 479, członków — 15.463. Dzieci objętych opieką ChTPD — 41.167.

Szczególną opiekę roztacza Towarzystwo nad dziećmi terenów zniszczonych — woj. kieleckiego, krakowskiego, rzeszowskiego, warszawskiego oraz poligonu sieradzkiego (łódzkie). Na tych terenach miejscowe koła ChTPD, prowadzą akcję dożywiania, opieki wychowawczej (dziecińce, przedszkola) i zdrowotnej. Dzieci zakwalifikowane przez lekarzy umieszcza w prewentoriach Don Suisse w Otwocku i PCK w Dzierżążnie oraz własnym w Rabce.

W zeszłorocznej akcji letniej brało ChTPD udział w wysyłaniu dzieci do Szwajcarii, Danii i Belgii, a przede wszystkim prowadziło samo w wielu punktach kraju kolonie, półkolonie i dziecińce. W związku z tym wyłoniła się potrzeba szkolenia odpowiedniego personelu. Przy pomocy władz oświatowych ChTPD zorganizowało szereg kursów dla wychowawczyń przedszkoli i dziecińców, na których przeszkolono zdolne, uspołecznione i chętne do pracy wychowawczej dziewczęta wiejskie.

W planowanej akcji zbliżającego się okresu letniego ChTPD przewiduje szereg kursów dla opiekunek w dziecińcach i pracowników na koloniach i półkoloniach dla dzieci wiejskich z terenów zniszczonych.

W ramach działalności kulturalnej ChTPD stara się dostarczyć dziecku wiejskiemu kształcącej rozrywki przez upowszechnienie teatrzyku kukiełkowego. (Kukiełki znane są w niektórych okolicach pod postacią szopki w okresie Bożego Narodzenia, nie są jednak znane jako teatr). W tym celu ChTPD prowadzi kursy dla zespołów młodzieży, które potem na własnych terenach prowadzić będą kukiełkowe teatrzyki dla dzieci.

Chłopskie Towarzystwo Przyjaciół Dzieci, jak i inne organizacje społeczne opiekujące się dzieckiem, wchodzi w skład Podkomitetu Pomocy Dzieciom i Młodzieży, współpracuje ze wszystkimi organizacjami oświatowymi, społecznymi, gospodarczymi i politycznymi na terenie wsi a także ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, z Polskim Czerwonym Krzyżem, Opieką Społeczną, spółdzielczością itp.

Chcąc dostarczyć rodzicom, wychowawcom i dzieciom odpowiedniego materiału wychowawczego rozwija ChTPD również akcję wydawniczą. Do tej pory wydano:

1) „Wierszyki wybrane" — wybór materiału poetyckiego dla wychowawczyń dziecińców i przedszkoli, dobieranego dla dziecka wiejskiego;
2) „Jak chować dziecko" J. Skarżyńskiej i H. Librachowej — popularny podręcznik dla rodziców i wychowawczyń;
3) „W dziecińcu" W. Bałki — śpiewnik przystosowany do skali dziecięcego głosu.

Przygotowuje się dalsze wydawnictwa.

TOWARZYSTWO GNIAZD SIEROCYCH I WIOSEK KOSCIUSZKOWSKICH

Towarzystwo Gniazd Sierocych obchodzi w roku bieżącym czterdziestolecie swego istnienia.

Założone w r. 1907 przez Kazimierza Jeżewskiego przy poparciu Marii Konopnickiej, H. Sienkiewicza i wielu innych pn. Towarzystwa gniazd rodzinnych dla sierot (w skróceniu TGS) rozwinęło swą działalność najpierw w Małopolsce, później objęło teren Kongresówki.

Idea wychowawcza Towarzystwa zawarta jest już w samej nazwie i realizowana była w ośrodkach wiejskich, gdzie umieszczano po kilkanaście sierot (wiejskich i miejskich) i przydawano im opiekunów w postaci odpowiednich małżeństw. Opiekunowie ci mieli za zadanie zastąpić dzieciom zmarłych rodziców. Podstawą utrzymania dla Gniazda Sierocego było gospodarstwo rolne od 20 do 30 ha.

Z uwagi na b. słaby rozwój ówczesnego szkolnictwa, musiano dla dzieci angażować nauczycieli prywatnych (domowych). Warunki materialne, zwłaszcza po pierwszej wojnie światowej, były ciężkie. W wolnych chwilach dzieci pomagały w gospodarstwie. Z gniazd dotychczas wyszło około tysiąca usamodzielnionych wychowanków, z których 10% otrzymało licealne i wyższe wykształcenie, 50% zawodowe średnie, reszta zawodowe niższe. Zachowali oni dla Towarzystwa głęboką wdzięczność za opiekę i sentyment dla swych przybranych rodziców.

Dla ścisłości trzeba przyznać, że nie wszyscy opiekunowie Gniazd wywiązali się dobrze ze swych obowiązków. Rozrzucenie pojedynczych Gniazd na dalekiej prowincji utrudniało kontrolę.

Założyciel Towarzystwa zdawał sobie sprawę od samego początku, że Gniazda w takiej formie nie spełniają całkowicie swego zadania, toteż tworzył je na okres przejściowy. Zasadniczą ideą było utworzenie wzorowych Wiosek Sierocych, składających się z kilkudziesięciu osiedli mieszkaniowych i osad rolnych, wzorowo zabudowanych i urządzonych z odpowiednio dobranymi małżeństwami, ludźmi uspołecznionymi i fachowo przygotowanymi, którzy powinni wziąć na wychowanie od 1—3 sierot i zastąpić im rodziców (wg zasad ideologii pedagogicznej Pestalozziego).

Wymienione wioski otrzymały nazwę „Kościuszkowskich“, uchwałą Sejmu z r. 1919 z okazji obrad nad sposobem uczczenia 100-ej rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki. W tym celu zawiązało się T-wo Wiosek Kościuszkowskich, którego pierwszym prezesem był Wł. St. Reymont.

Na początku 1946 r. z okazji 200-lecia urodzin T. Kościuszki, Tow. Wiosek Kościuszkowskich zostało reaktywowane przy poparciu Premiera E. Osóbki-Morawskiego.

Dnia 1. X. 1947 T-wo Gniazd Sierocych złączyło się z T-wem Wiosek Kościuszkowskich. Statut połączonych Towarzystw jest opracowywany.

Pod budowę Wiosek Sierocych Państwo przydzieliło następujące majątki:

1. pod Szamotułami, woj. poznańskie — Myszkowo, Klączyn i Kąsinowo, pow. 1.500 ha.

2. Pod Gdańskiem k. Pruszcza — Swińcz, Wojanów i Będziszyn, pow. 1.200 ha.

3. Na Mazurach pod Iławą — Neglin i Łęgowo (dawn. wł. Hindendenburga) — 1.400 ha.

4. Radiowo, pow. Olsztyn, (przyznane w maju br.) — 480 ha.

Z wyjątkiem majątków poznańskich, reszta jest bardzo zdewastowana przez działania wojenne.

W oparciu o kredyty państwowe Towarzystwo zagospodarowuje te majątki. Jeśli urodzaje dopiszą, Towarzystwo będzie miało w przyszłym roku bazę samowystarczalną dla utrzymania ok. tysiąca sierot. Obecnie w pałacach majątkowych tworzone są domy dziecka na okres przejściowy, tj. do czasu, kiedy dzieci będą mogły być rozprowadzone pomiędzy rodziców zastępczych w Wioskach.

Pałace wymagają remontów, na co Towarzystwo nie posiadła funduszów. Pieniądze własne, jakimi rozporządza, pochodzą z ofiarności społecznej. Społeczeństwo (związki zawodowe, partie polityczne i osoby prywatne) dało już Towarzystwu w ciągu kilku miesięcy ponad 2 mil. zł, po zapoznaniu się z programem Wiosek Sierocych, który rozsyłany jest w specjalnej broszurze, wydrukowanej w 50 tys. egzemplarzach. Dużo już jest zgłoszeń na pracowników Wiosek.

Na razie Towarzystwo mogło wprowadzić pierwszą partię sierot do ośrodka pod Poznaniem. Jest tam obecnie ok. 40 dzieci, sprowadzonych

ze zlikwidowanych Gniazd Sierocych (Marianowo, pow. Sochaczew i Wielowieś pow. Tarnobrzeg).

Towarzystwo Gniazd Sierocych i Wiosek Kościuszkowskich organizuje kolonie letnie dla 700 sierot i półsierot na terenie wymienionych majątków, jak również w Pilicy-Zamku k. Olkusza, w Rajczy k. Żywca (ośrodki TGS) oraz w Orłowie k. Gdyni obóz morski.

Towarzystwo żywi przekonanie, że przy pomocy państwowej, społecznej i zagranicznej zrealizuje swój program tworzenia Wiosek Sierocych, żywych pomników ku czci T. Kościuszki, który dla młodzieży sierocej Wiosek ma być wzorem gorącego patrioty i dobrego Obywatela Demokraty.

*

Spomiędzy licznych odgłosów, jakie Gniazda Sieroce wywołały w prasie, zamieszczamy artykuł pióra p. Józefa Kuczyńskiego, późniejszego wicemin. R. P., przysłany w r. 1913 ś. p. Stanisławowi Glezmerowi, ówczesnemu prezesowi, w odpowiedzi na broszurę programową, rozesłaną ludziom dobrej woli.

Artykuł ten bowiem doskonale odźwierciadla intencje organizatorów Gniazd Sierocych.

„Jeżeli mianem „oryginalnej" nazywać myśl jaskrawo nową, to w idei tworzenia Gniazd Sierocych oryginalnego dopatrzeć można niewiele.

Pobudki zajęcia się losem sierot, wdrożenia ich do pracy pożytecznej, wychowanie ich w zdrowym środowisku są najmniej tak dawne, jak nowożytna myśl społeczna.

Dlaczego jednak, pomimo to, treść włożona w organizację Gniazd Sierocych targnęła nami żywiej, prześwietliła jakgdyby nowym ciepłem organiczne dążenia nasze ku umniejszeniu krzywdy i niedoli?

Wynikało to stąd, że błąkająca się od lat wielu myśl społecznego opiekowania się sierotami, która znajdowała dotąd swój wyraz, jak to mam podpowiadał rozum i uczucie — w formach jednostronnych — naraz odlana w kształt klasycznie prosty, przeobraziła cieplarnianą roślinę miłosierdzia w drzewo, które od razu głęboko uczepiło się ziemi ojczystej, zyskując przez to naturalne prawo i siły do bytu.

Gniazda sieroce są krokiem postępu, podnoszą o szczebel wyżej dobroczynność publiczną, tak ją nierozdzielnie zlewając z użytecznością społeczną, że czerpiącym z tego źródła przywracają w całej pełni to dostojeństwo ludzkie, jakie miłosiedzie same, wbrew nawet swej woli, obniża.

I w tym przyszłość Gniazd, bo w takim właśnie kierunku pójść musi całe dzieło opieki nad wszelką niedolą.

Chcąc jej ulżyć, zdobywaliśmy się dotąd przeważnie na lirykę, na miłosierdzie. Akordy epiczne odzywały się zrzadka, chropawo.

W miłosierdziu tkwi jeszcze egoizm; ono tylko nie znosi tego bólu i niedoli, które widzi koło siebie, albo których echa doń dochodzą.

Miłość zaś ku ludziom bardziej jest czynna, wyczuwa wszelki ból i sięga do jego źródeł, aby je tamować. Oczywiście źródło uczucia — u nas zwłaszcza — nie wyschło i zalatują nas jego akordy społeczne. Nad ten, jaki niosą ze sobą Gniazda Sieroce, czystszego nie słyszałem.

Oto jest naprawdę przesłoneczniony epos znojnego dnia roboczego wsi polskiej. Oto jest myśl twórcza, wykwitła ze zdrowego jędrnego uczucia. Nie ma tu nic z sentymentalnej liryki miłosierdzia, a jednak całość składa się jak poemat.

Na razie nie uświadamiamy też sobie, jak wartościową jest swoistość Gniazd Sierocych. Tego i owego może napawa obawą o skuteczność zabiegów wzgląd, że zabieramy się do dzieła, którego wzoru nie daje nam cały zachód.

Ale jeżeli chcemy utrwalić prawo opierania się w swych potrzebach i dążeniach o pojęcia samoistnej kultury polskiej, to owszem, winniśmy świadomie, skoro tylko mamy ku temu możność, pojęcie to rozszerzać i odżywiać nową treścią.

Wytworzenie swoiście naszych Gniazd Sierocych byłoby właśnie włożeniem w kulturę polską wartości nowej, na najdalszą mętę widzianej.

I to jest powód, dla którego Gniazdom Sierocym nie wolno nic ująć z tej formy, w jaką samorzutnie i nieskazitelnie odlało ją polskie uczucie,

Niech więc żyją i trwają czystym akordem słonecznego eposu wsi polskiej!".

*

Maria Konopnicka, wielka przyjaciółka Gniazd Sierocych taki napisała dla nich wiersz:

Gdy wschodzą ciche promienie gwiazd
Na wieczorowym niebie,
Ojcze nasz, Boże! z sierocych gniazd
Podnosim głos do Ciebie.

Na chwałę Twoją rosnąć nam daj,
Niech nam Twa łaska świeci!
A niech ma chlubę ojczysty kraj
Z swych przygarniętych dzieci!

Tyś nas opieką otoczył Swą,
Pisklęta Twe bezpióre...
Niechże się dusze nasze rwą
W górę, ku światłu, w górę!

Ojcowską ręką błogosław nas,
Otwórz nam serca bliźnie,
A pozwól służyć, gdy przyjdzie czas,
I Tobie, i Ojczyźnie!

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA LIGI NOWEGO WYCHOWANIA w AUSTRALII

Jeszcze w czasie pierwszej Wielkiej Wojny zrodziło się wśród pedagogów angielskich dążenie do zjednoczenia wysiłków wszystkich postępowo myślących pedagogów świata dla wspólnego opracowania nowych ideałów, metod i środków wychowawczych, które należałoby zastosować do przeciwdziałania siłom, zagrażającym pokojowi i cywilizacji świata. Na tym gruncie wyrosła „Liga Nowego Wychowania“ (New Education Fellowship), mająca w 1939 r. swoje oddziały w 50 krajach i dążąca do propagowania i szerzenia na całym świecie ulepszeń i reform wychowawczych, mających na celu jak najgłębszą demokratyzację oświaty i wychowania i jak najściślejsze sprzęgnięcie ich z planami przebudowy społecznej, zmierzającymi do przystosowania stosunków między ludźmi do szybko zmieniających się form naszego życia i cywilizacji.

Nowa i straszliwsza od poprzedniej katastrofa wojenna wzmogła wśród pedagogów poczucie odpowiedzialności za wynik walki o trwały pokój. Nic też dziwnego, że odbyta we wrześniu ub. r. w Australii międzynarodowa Konferencja Ligi Nowego Wychowania obrała sobie za hasło i temat główny swych rozważań zagadnienie „wychowania dla porozumienia międzynarodowego“. Z tego punktu widzenia rozpatrywane były zarówno bolesne sprawy skutków wojny i okupacji niemieckiej w dziedzinie oświaty, wychowania i opieki nad dzieckiem, jak i problemy nowych reform wychowawczych, których znaczenie w ramach szerszych reform społecznych było specjalnie podkreślane.

Wobec trudności powojennych, specjalnie w zakresie komunikacji, zjazd delegatów nie był zbyt liczny (14 osób z 10 krajów: Ameryka, Anglia, Czechosłowacja, Chiny, Francja, Holandia, Indie, Nowa Zelandia, Polska i Australia), jednak ich wybitne indywidualności, jak i szczere usiłowania jasnego przedstawienia i rozważenia ogromnych trudności, stojących przed nowoczesną myślą pedagogiczną, przyczyniły się do wysokiego poziomu i poważnego znaczenia odbytych obrad.

Celem Konferencji było zresztą przede wszystkim zapoznanie szerokich rzesz nauczycielskich Australii z najważniejszymi zagadnieniami, nurtującymi pedagogiczny świat powojenny. Wyrazem zainteresowania dla tych zagadnień było niesłychanie liczne uczestnictwo — po kilka tysięcy osób w każdym z 6 miast australijskich, gdzie kolejno odbywały się obrady a raczej odczyty Konferencji. Program bowiem nie przewidywał zebrań dyskusyjnych w ściślejszym gronie specjalistów, gdzie by można było dochodzić do jakichś wspólnych wniosków czy rezolucji — a jedynie duże publiczne odczyty, dające nauczycielom i rodzicom australijskim, czującym się bardzo izolowanymi od reszty świata, wiadomości o obecnej sytuacji i wysiłkach przy odbudowie zrujnowanej oświaty w krajach dotkniętych wojną.

Zgodnie z naczelnym hasłem konferencji, główne tematy odczytów obracały się dokoła zagadnienia współpracy międzynarodowej i udziału wychowania w przygotowaniu prawdziwego zbliżenia pomiędzy narodami. Poruszano sprawy UNESCO i konieczności poparcia tej instytucji przez pedagogów całego świata w jej usiłowaniach do udzielenia pomocy krajom zacofanym oświatowo, do zwalczania analfabetyzmu, do rozszerzenia wymiany studentów i profesorów, do tworzenia wspólnej nomenklatury naukowej i pedagogicznej, uzgodnienia i wzajemnego uznania tytułów naukowych na różnych poziomach nauczania oraz wszelkich innych sposobów, które mogłyby ułatwić wzajemną wymianę doświadczeń i osiągnięć na polu oświaty i wychowania. Wielokrotnie poruszano sprawy reform szkolnych w poszczególnych krajach, jak Francja, Anglia, Czechosłowacja, Polska, przy czym uderzała — mimo niezależności tych wszystkich poczynań — duża zbieżność w zasadniczych dążeniach i wytycznych tych reform. Zwłaszcza usiłowanie rozszerzenia planowych poczynań wychowawczych do jak najwcześniejszych lat życia dziecka (wychowanie przedszkolne) i objęcie nauczaniem szkolnym coraz to starszej młodzieży wydaje się tendencją powszechną. Wszyscy delegaci podkreślali również konieczność ścisłej współzależności i współpracy między szkołą a społeczeństwem, konieczność odsztywnienia przepisów i norm wychowawczych, liczenia się z zainteresowaniami nauczanych. Poruszano też bardzo mocno palącą wszędzie sprawę lepszych uposażeń dla nauczycieli, lepszego ich przygotowania i większych wogóle budżetów na cele oświatowe.

Dominowała też wśród prelegentów wiara w konieczność jak najszerszej współpracy międzynarodowej oraz przekonanie, że wszelkie poczynania na polu wychowania międzynarodowego nie będą owocne bez udziału pedagogów Związku Sowieckiego, którzy na zjeździe tym nie byli reprezentowani.

Dr Maria Żebrowska

Sznigir Jerzy Mieczysław, lat 13, zamieszkały ostatnio we Wrocławiu przy ul. Józefa Bossaka Henkego 29 m. 10 — wyszedł z domu w lipcu ub. roku i nie wrócił.

Kto by miał jakiekolwiek informacje o tym chłopcu proszony jest o powiadomienie rodziców pod wyżej wymienionym adresem.

SPIS TREŚCI:

Redakcja — Irena Chmieleńska i dr Irena Skowronkówna. Sekretarz redakcji — Jadwiga Ligocka. Komitet Redakcyjny — Zofia Niemcowa, Krystyna Popiel, dr Maria Uklejska.

Adres Redakcji: Ministerstwo Oświaty, Warszawa, Al. I Armii 25, pok. 259.
Adres Administracji: PZWS, Warszawa, Plac Dąbrowskiego 8.

Drukarnia Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych w Łodzi
D - 015400 — 98/47

UWAGA, DOMY DZIECKA!

Zgodnie z prawem opiekuńczym obowiązującym na terenie Rzeczypospolitej od 1. VII. 1946 r. (Dz. Ustaw R. P. 1946 r., Nr 20, poz. 249), każdy małoletni, tj. osoba, która nie ukończyła 18 roku życia, nie znajdujący się pod opieką rodziców, np. pełny sierota, dziecko opuszczone, porzucone itp. musi mieć opiekuna prawnego, którego mianuje władza opiekuńcza. Władzą opiekuńczą jest Sąd Grodzki właściwy dla miejsca zamieszkania dziecka. Do zadań opiekuna prawnego należy zastępstwo małoletniego przed sądami, urzędami, troska o osobę i majątek dziecka. Tylko opiekun prawny może np. podejmować należną dziecku rentę, występować do sądu o alimenty, zarządzać majątkiem nieletniego itp.

W stosunku do wychowanka domu dziecka z wnioskiem o mianowanie opiekuna winien wystąpić kierownik domu dziecka, wskazując jednocześnie kandydata na opiekuna (art. 12 par. 2).

Jeżeli wzgląd na dobro dziecka nie stoi temu na przeszkodzie, opiekuna prawnego należy wybierać przede wszystkim spośród osób wskazanych przez rodziców przed ich śmiercią, względnie spośród najbliższych krewnych dziecka, przyjaciół rodziny itd. W wypadku braku odpowiednich osób spośród wyżej wymienionych, można wskazać inną osobę.

Ministerstwo Oświaty zaleca stawianie wniosków co do tych osób jedynie w tych wypadkach, w których kierownictwo domu dziecka ma pewność, że spełnią oni właściwie i umiejętnie powierzony im obowiązek, że nie będą działali na szkodę dziecka (np. nie zażądają wydania go z zakładu do pracy na swoim gospodarstwie, nie będą fałszywie kierowali jego wykształceniem zawodowym itp.) i nie będą utrudniali pracy wychowawczej zakładu.

W stosunku do dzieci, dla których kierownictwo nie znajduje odpowiednich opiekunów poza zakładem — Ministerstwo zaleca wystąpienie z wnioskiem o mianowanie kierownika i innych członków personelu domu dziecka opiekunami prawnymi.

W wypadku, gdyby członek personelu domu dziecka zmienił pracę— może on wystąpić do sądu o zwolnienie go z obowiązku opieki z jednoczesną opinią kierownictwa domu i podaniem wniosku co do osoby następnego opiekuna (art. 38 i 39).

W miarę nawiązywania przez domy dziecka bliższych kontaktów z wartościowymi przedstawicielami miejscowego społeczeństwa, pracownicy domu będą mogli i powinni stopniowo zrzekać się swoich obowiązków opiekunów prawnych w stosunku do poszczególnych dzieci na rzecz tych osób,

które podejmą trwały i poważnie zrozumiany obowiązek opieki nad dzieckiem, tak żeby w przyszłości każdy wychowanek domu dziecka pozbawiony opieki rodzicielskiej posiadał poza zakładem kogoś, kto jego losem poważnie (i trwale) się interesuje.

Gdyby opiekun prawny mianowany przez władzę opiekuńczą nie nadawał się na to stanowisko, a zachowanie jego zagrażałoby dobru dziecka, np. gdyby opiekun utrudniał dziecku naukę, zmuszał do pracy dla swej korzyści, źle zarządzał jego majątkiem itp., wówczas kierownik zakładu winien niezwłocznie o powyższym zawiadomić władzę opiekuńczą, która przedsięweźmie środki zaradcze, a nawet usunie nieodpowiedniego opiekuna.

Wszystkie wypadki posiadania przez dziecko pozbawione opieki rodzicielskiej jakiegokolwiek majątku nieruchomego winny być podawane do wiadomości władzy opiekuńczej oraz Kuratorium, które każdą sprawę indywidualnie rozpatrzy i doradzi sposób najwłaściwszego postępowania.

O wszystkich trudnościach, wynikających z wprowadzenia w życie niniejszego zarządzenia, kierownictwa domów dziecka zechcą b e z z w ł o c z n i e informować Kuratorium przesyłając jednocześnie odpis pisma do Ministerstwa Oświaty (Wydział Domów Dziecka).

Meldunki te są konieczne ze względu na trudności i nieporozumienia, jakie wynikać muszą zawsze przy organizowaniu nowych akcji w skali państwowej. Zsynchronizowanie akcji władz sądowych i władz oświatowych w terenie nastąpić będzie mogło szybciej przy ingerencji instytucji centralnych (Min. Oświaty i Min. Sprawiedliwości).